

Das Gebeth uera i Wolff
JÓZEF WIŚNIEWSKI

~~P. 1366~~

ŚWIĘTO POETY

(JUBILEUSZOWE SZKICE O SŁOWACKIM)



BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. ~~2958~~

KRAKÓW 1909 - NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO

TEGOŻ AUTORA

WYSZŁY DOTYCHCZAS:

- POEZYJE — serya pierwsza — Kraków 1901. — G. Gebethner i Sp.
- POEZYJE — serya druga — Lwów 1903. — Towarzystwo Wydawnicze.
- ŚPIĄCA KRÓLEWNA — Poemat dramatyczny w czterech strofach. (Z cyklu: „Dolina Łez“, część pierwsza). Kraków 1907. — G. Gebethner i Sp.
- KRZAK GOREJĄCY — Tryptyk sceniczny. (Z cyklu: „Dolina Łez“, część druga). — Kraków 1907. — G. Gebethner i Sp.
- ŚWIĘTO POETY — Jubileuszowe szkice o Słowackim. (Z artystyczną okładką Jana Bukowskiego). — Kraków 1909. — S. A. Krzyżanowski.
-



ŚWIĘTO POETY

WISNIEWSKI

3746.



Wis
Świe
8-3

2958



7.10812/2958

SN 20030

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.
OKŁADKA WEDŁUG RYSUNKU JANA BUKOWSKIEGO.

CZCICIEL NIEWIASTY.

...„Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą

I biedne serce moje spalą w aloesie,

I Tej, która mi dała to serce oddadzą: —

— Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...“

— Ikało w przedzgonnym wierszu geniusza.

I oto zbliża się chwila.

Nieliczna zrazu garść owych przyjaciół urosła w legion, w naród, a ten nie w nocy, nie cicho, ale pod pełny blask słońca, w obliczu całego świata złoży to wielkie i kochane serce z pietyzmem niepożytego w siłach i idei martyrologety, w krwawiącej, smutnej, ale swojej ziemi.

Wyzuty z dawnej wielkości i mocy, dręczony i sportwarzany, zdobywa się w najcięższych, najtrudniejszych chwilach na akt umiłowania i sprawiedliwości względem jednego z najwyższych swych duchów, na „olbrzymi“, zaiste „lot ptaków“, by obok łez umęczenia, pamięcią na swe wybrane modlić się u stóp Wszechmocy, co

...„nie jest tylko robaków

Bogiem i tego stworzenia, co pełza...“

i w narodowym, wiekopomnym święcie w piersi swe szerszy wziąć oddech i zaczerpnąć sił znów na Jutro.

A w pierwszym rzędzie, na czele narodu hołd wielkim prochom winna złożyć ta, którą genialny wirtuoz-

poeta objawił światu w całym wzniosłym pięknie, której wdzięku, cnót i słodyczy najsubtelniejszym, najtkliwszym był piewcą i najentuzjastyczniejszym roli jej w narodzie gloryfikatorem, — ona, dziewica, matka, — słowem Polka.

Mamy w literaturze naszej arcymistrzowskie kreacje niewieście, żeby jeno wspomnieć najdroższe sercu polskiemu postaci: Ewę i Zosię z Pana Tadeusza, niezapomnianą Polkę Malczewskiego, Anielę Fredry, Olenkę z Potopu czy Madzię Prusa, Joasię z Bezdomnych lub owe ciche, smutne pracownice w siostrzanym ciepłym owianych utworach Orzeszkowej a Konopnickiej, — aureolą atoli najwyższych poświęceń i ofiar, słodyczą życia, głębią wzniosłych uczuć i liliową czystością marzenia, góruje nad wieloma, obok wielu godnie wpobok stawa nieprzebrana galerya świetlanych bohaterek naszego poety, zarówno rzewnych, cichych i serdecznych a nad wyraz, nad powiedzenie wszelkie bolejących, — zarówno pełnych hartu, ognia i mocy duchowej, jak tych nieziemskich, lotnych, fantastycznych, które jedynie delikatne i pastelowe pióro Słowackiego z takim mistrzostwem, z taką siłą twórczą do życia powołać mogło.

Sama natura i organizacja duchowa poety miała w sobie coś niewieściego, coś, co go na poetę kobiecości właśnie pasować i namaszczać musiało już z góry: szlachetna, bezprzykładna czystość męskich uczuć i dziewiczość serca, skłonność ku temu, co powabne, lśniące

i niezwykle, nerwowość i wyjątkowa nawet u artysty, nadmierna wrażliwość, tęsknota i melancholia, kapryśność iście chwilami niewieścia, subtelność i fantastyczność, daleka od pospolitej, rażącej zmysł artystyczny i tę naturę mimozy, przyziemnej „rzeczywistości”: — oto, co na dnie złożonej, przebogatej duszy Słowackiego leżało od dni dziecięcych.

Dusza to jedna z najniepospolitszych.

....„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły...“

W kobiecie ukochał twórca Anhellego nie samą piękność zewnętrzną, lecz duszy skarb, piękno uczuć, to też w galerii jego bohaterek tak wiele jasnych anielic.

Im przeto pierwsze tu miejsce.

Na samym progu twórczości poety uderza postać śliczna a nieszczęsna, poza grób wierna kochanka i żona, złamana klątwą, bolesna i smutna, a choć jakoby przez mgłę pokazana, choć przesłoniona tajemniczym mrokiem, przecież na długo żyjąca w pamięci, trwałe swą dolą współczucie rodząca.

....„Dlaczegoś smutna? Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu,

Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
 Lilia wodna może przeczuć burze,
 Kwiat czuje, — ona miała czucie kwiatu...“

Ta pełna przeczuć złowieszczych istota, ten kwiatdziewica, to żona zaprzańca i renegata, Jana Bieleckiego.

Z mlekiem matczynem wyssana gorąca wiara w Opatrzność każe jej w rzewną, serdeczną tęsknotę przerodzić rozpacz po strasznem weselu, jako „płacz dziecka“ są jej łzy sieroce, pełna poddania oraz rezygnacyi dźwiga swój ciężki krzyż, by upaść pod nim, nie zdjawszy czarnej klątwy ni pogardy z najdroższej, w przepaść przez los pchniętej duszy.

A ten rys zwłaszcza ostatni, ta bierność zrezygnowania z marzeń, szczęścia, uciech, to cecha charakteryzująca przeważną część heroin wielkiego poety, — ona-to czyni z nich zawsze bezmiernie smutną, bez żadnej winy cierpiącą ofiarę, igraszkę losu czy tyranii ludzkiej.

Urok pogody, słodycz w krwawym smutku, męka nadludzka a na ustach skurcz jeno bólu i beznadziejny, stłumiony jęk serca, nie zawodzenie, rozpacz czy bluznierstwo, — to jest, co tak niepodzielnie do tych cichych anielic przykuwa, co w nich wzrusza do dna i do głębi, i przed ich bólem strasznym a bezsłownym głowę pochylić zmusza z czcią głęboką.

Łka ten ból niewymowny w równie przykuwający swem skupieniem, poddaniem i milczeniem sposób i w owej nieszczęśliwej żonie, córce polskiej i

....„myśl głęboko zadumana słyszy
 Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony...“

Nad onym wiotkim, delikatnym kwiatem, brutalnie
 kosą nieszczęścia podciętym.

Kilku zaledwie rzutami skreślona, zbliża się do Bieleckiej ogólnikowością charakterystyki a mimo to wypukłością i wyrazistością poprostu plastyczną, serdeczna dziewczyna wiejska, przez bolesną ironię losu drugie zaledwie miejsce w macierzyńskim sercu zajmująca, Alina, „cudnowłosa“, dobra córka Wdowy.

— „Kochać i być wierną“ — oto jedyne pragnienie tej słodkiej i ślubowanie umiłowanemu, który o rękę jej względnie jej siostry starać się przybył pod ich skromną strzechę i w tych dwóch słowach leży rdzeń jej uczuć, cała treść wewnętrzna jej prostej natury, w ślad za czym idzie pocziwe życzenie uszczęśliwienia i swoich najbliższych: — matki i starszej swej rywalki-siostry:

....„Jeśli mnie wybierzesz
 Szlachetny panie, to musisz obiecać,
 Że mnie do zamku twojego zabierzesz
 Z matką i siostrą...“

Wrodzona przeto dobroć, wdzięk i prawość charakteryzują to łagodne dziewczę, którego jedynem marzeniem o pierś ukochanego z ufnością się oprzeć a z miłości jego czerpiąc życie, być mu osłodą, źródłem ukojenia i pokrzepieniem w dniach upadku ducha, siac

wokół uśmiech, radość, krzepkie zdrowie, pogodę jasną, piękno i nadzieję. I niechby tym wybranym był nie on rycerz chrobry i dostojny, lecz prosty pasterz czy ubogi rolnik, — oddanie mu się jej takie i taka rola w jego cichem gnieździe: — oto dlaczego żyje, czem oddycha.

...„Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dlatego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty...”

spowiada się w upojeniu.

...„Jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... a gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...”

— karcie łagodnie swą występłą siostrę ta, która czystość nad wszystko przekłada.

Wykładnikiem pojęć i zasad tej prostej natury polnej bezwzględna prawość, szczerłość, prawda, jasność, żywiołem życia miłość, tylko miłość, ta dziewicza, czysta a natchniona, co nad żar zmysłów, nad gorączkę żądź stawia anielskość świętego uczucia, kochająca i „wzajem kochana”, bo atmosferą takich dusz wybranych jest miłość prosta, ale obopólna.

Prześlicznie oddał poeta swe dziewczę w chwili, gdy tonie w rozmarzeniu słodkiem, lub kiedy roi w godzinie modlitwy:

...„Widzisz mój Boże! Ja mam serce czyste
A przysięgając nie złamię przysięgi...
— Boże! ptaszęta u Twojej potęgi
Mogą uprosić o wiszeńkę czarną.
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną:
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny.
Gdzie stąpię... wszędzie czerwone maliny...”

I śni się biednej dobrotliwy sen:

...„Wszędzie maliny, maliny, maliny!...”

A jednak serce tej miary umie z pogodą i samozaparciem zrobić ofiarę z swych najświętszych uczuć dla szczęścia tych, których kocha:

.....„A kto wie siostrze? Gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możebym dała?...”

choć

...„ten dzbanek,
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek,
I wszystko moje...”

I za to spotka ją śmierć ze zbrodniczej ręki siostrzanej.

Obie naprowadzone na wstępie kreacye wskazują najdowodniej, jakim mistrzem w charakterystyce kobiet był Słowacki od lat młodzieńczych („Bielecki“ powstał przed wyjazdem z kraju); — geniuszem jest niezaprzeczenie, kto tak ubocznie niby i tak mimochodem, epi-

zodycznie traktując kreację, umie ją zrobić i tak wyrazi-
stą i takim ciepłem swego serca owiać.

To też gdy charakterystyce Polki-bohaterki poświęci-
więcej i czasu i miejsca, musi stąd urósć kształt taki
plastyczny, tak doskonały w sobie i wymowny, że
wszelkie braki utworu okupi i przyćmi swoją wielkością
i prawdą, że się pomnikiem stanie i wyrazem natury
naszej Polki z lat ubiegłych i tak też patrzeć trzeba
nam na postać, jakiej niewiele równych w sztuce pol-
skiej, na nieszczęśliwą żonę Wojewody.

W tragicznej bohaterce Ma z e p y ujawnił się w ca-
łym blasku i potędze niedościgniony geniusz poety
w rzeźbieniu w słowie, jak w najdroższym kruszcu,
i artystycznie i psychologicznie nieporównanej kreacji
niewieściej.

Ileż ich było, tych biednych męczennic, skutych
łańcuchem wbrew popędowi serca z człowiekiem zgoła
duchowo im obcym!

I w tej ofierze pokutuje dusza przemocą wziętej
w jarzmo głośnej Halszki w renesansowych czasach
Zygmuntowych.

Lecz ta dziewczyna-żona, płoniąca się jak dziewica,
naiwnie-szczera i skromna i cicha, to wcielony obowią-
zek życia, uosobiona uczciwość i cnota i tylko raz
w chwili przeczuć zdobędzie się na westchnienie:

...„Nie wiem. Ja na tym świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa...”

Jedyna to skarga tej duszy, jedyny wytrysk żalu i tęsknicy, zresztą pogoda i królewski spokój uderzają z niej w każdej scenie, dopokąd grom w nią nie padnie.

I ją cechuje bierność i uległość, tyle znamienne w niewiastach poety, ale obok tych cech zasadniczych (tak powszechnych w dawnym życiu polskiem i przeto wielce historycznie wiernych), taki w niej górny majestat kobiecy, taka moc charakteru w godzinie nieszczęścia, taka wielkość duszy, że na tragiczną bohaterkę w zwykłym rozumieniu wyrazu *tragiczny* nazbyt mało czynna, jest mimo braku swej „tragicznej winy“ mniej przecież bierna, niżby się mogło wydawać z pierwszego na rzecz wejrzenia.

Alboż nie czynem jest i wręcz nadludzkim jej niewieścia zgoła siła panowania nad własnem sercem, kiedy nieszczęśliwe poznało nagle, jakich słodkich uczuć stało się ubłogosławionem, wybranem naczyniem?!

Więc prawość gruntu, na którym wyrosła, raczej jej targnąć się na życie każe, niżeli bodaj na moment da opanować występnej miłości i zejść niegodnie z prostej drogi cnoty.

Niezapomnianą też jest owa scena, gdy co najdroższe stracić jej przychodzi, z artystycznego względu genialne jej pożegnanie ze smutnym pasierbem.

Ta walka wewnętrzna, owo pasowanie i szamotanie się z najświętszem z uczuć, moc panowania nad sobą w tej chwili, rzucenie wzroku w niezgłębioną przepaść, otwartą znagła przez to ukochanie, przed ludzkim okiem skryte jak najgłębiej i wobec siebie samej niewyznane

a dziś dopiero z szczerością rozpaczy uświadomione, poznane i widne: — to hołd poety dla niewiasty polskiej, do czci też zmusza względem nieszczęśliwej a takiej jasnej kapłanki ogniska, któremu polska uczciwość na imię.

Jakże poprostu, jak bez afektacyi, obcej prostocie naszej z owych lat, skarży się biedna w tej scenie:

....„Ja znoszę

Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,

Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie!...“

— jaka rozpacz i wzgarda dla swojej słabości leje się z ust jej wybuchem:

....„Jaka plama

Dla mojej czystej duszy tak z waćpanem gadać,

Jak gdybym rozumiała...“

Bo to chwila jej jasnovidzenia i choć nie padło wręcz występne słowo, jej czystość nagle czuje się zbrukaną i oburzenie bez dna i bez granic wyrывa z głębi łamiące się słowa:

....„Milcz, milcz! Ja cię rozumiem! Tak padłeś przedemną,

Waćpan przedemną strasznie upadłeś, Bóg ze mną!

Ja waćpanu nie mogę nic, prócz łez, ja sama

Cierpię...“

Ileż palącej goryczy i buntu w tych słowach coraz się rwących, ileż godności w tem samopoznaniu i osądzeniu surowem swych uczuć i ile prawdy psychicznej a łkań w gorącym:

....„Proszę te łzy pamiętać... i o mnie...“

Łzy smutne, krwawy szloch duszy, jedyna ulga nieszczęśliwej w rozpacz i błędne koło cierpienia i udręczeń coraz ją cieśniej oplata i gnębi. Świadoma swojej wartości kobiecej, skrzywdzona myślą i oplwana słowami, najtragiczniejsza z rodzimych heroin, pada ofiarą ślepej namiętności a bezmiar nieszczęść zanadto jest duży, by można żyć w takiej męce, to też dla strатовanej bezlitośnie duszy jedyne wyjście pozostaje: — śmierć, która tem droższą czyni męczennicę, z taką godnością strzegącą honoru swojego „pana“, małżonka i — kata.

Umiera cicho i sponiewierana, lecz żyje wielkością jej cnót i ofiary, urasta w przykład, wzór i symbol dobra.

Nie można było piękniejszego wystawić pomnika polskiej niewieście nad tę postać, taką świetlaną, choć tak bolesną.

Mało kreacy w poezji powszechnej równać się może z tem wcieleniem piękna, z tem cudnym ucieleśnieniem ideału żony.

Wobec ślicznej, lubo nie wolnej przecież od zarzutów, żony Filipa II., która podobnym grzechem uczuć płonie, Amelia Wojewodzina tak wysoko stawia i taką jest przez swego genialnego twórcę otoczona aureolą bólu, nieszczęścia i, co najważniejsze, czystości i nieskalaności, że zbrodniczy w zasadzie stosunek staje się czemś idealnym w swojej świętości i dostojnej bieli a to mistrzowskie rozwiązanie trudnego i niezmiernie ryzykownego problemu, miasto spodziewanego i koniecznego niemal w takich razach wstrętu, budzące cześć i współczucie, jest wyłączną i niepodzielną własnością naszego

twórcy, cudowną tajemnicą jego geniuszu i dowodem tej podnoszonej już wyżej subtelności jego niewieściej, dzięki której pastelowe dotknięcie jego miękkiej dłoni najdelikatniejsze poruszało struny w ludzkiej duszy, zwycięski ton z nich wydając.

Dwie postaci niewieście w Horsztyńskim, to jakoby rozszczepiona napoły duchowo żona Wojewody w rozważanej przed chwilą sztuce Słowackiego.

W dziewicę, jej imienniczkę, zaklął poeta wdzięk i białość tamtej, anielskość uczuć i ich nieświadomość, w drogiem imieniem matczynem ochrzczonej żonę Horsztyńskiego wcielił jej godność, polskość i majestat, — stworzył nowe, przeczyste kreacye na wiekiustą, trwałą chwałę Polki.

W obie tchnął także beznadziejność uczuć i ich występność w obliczu sumienia, więc to, co tamtą o śmierć przypawiło, ale obydwom dał ten sam grunt duszy, obiedwie przelśnił blaskiem niewinności, dla obu wdroył w serce czytelnika bezmierną litość i współczucie bratnie i na piedestał cnoty stawiając obie, umiał w niem wzbudzić, jak prawdziwy twórca, swoje uczucia własne względem obu, szacunek męski, cześć i uwielbienie.

Szczególnie względem Amelii. Zbyt to niewinna jeszcze dusza dziecka, by mózdz rozumieć grozę swoich uczuć, nie pokalało ni tych ust, ni myśli, choćby przełotne jeno słowo: miłość, — siostrzana skłonność —

wedle jej mniemania — najtragiczniejszą jest tej duszy winą, a dla kochanka-brata klątwą życia.

Po subtelnie odmalowanej miłości macochy dla syna męża z pierwszego małżeństwa, — jak to widzieliśmy wyżej przy rozważaniu nieszczęść Amelii Wojewodziny, — tu, w *Horsztynskim*, w równie, a bodaj czy nie w bardziej dyskretny nawet sposób, dotyka poeta występniejszych uczuć i stosunków a jednak oboje młodych takim dostojnem otacza anielstwem, że nas podbija czystość tej dziewczyny i zrozumiałym nam jej spokoj czyni.

Jutrzniana świeżość i niepokalaność: oto, co wionie z tej świetlanej duszy.

— Polskość i sielskość, prawość i sumienie: — to znów znamiona cichej Salomei.

Obok starego i ciemnego męża, obok ruiny dawnej rycerskości, — to wątle kwiecie więdnieje i schnie. I czyliż może dziwić, że w takich warunkach, jej bujna, rwąca a złamana młodość upodobała sobie męskość orlą, wcieloną w postać bohatera sztuki?!

A jednak ileż godności w tej Polce, jaka czcigodna, męska siła woli w tej „białogłowie“ i wieśniaczcze skromnej!

Trawi się wewnątrz lecz dla oczu ludzkich ma na pokrycie wulkanu uczucia, wrącego kędyś na samym dnie serca, niezamacony niczem spokój lic oraz stalową pawęż polskiej dumy. O obłąkanie przypawi ją raczej krwawa rozterka duszy i bój z sobą, nimby na czystość jej zimnego gniazda miał paść cień bodaj hańby i sromoty.

A na tej straży męzowskiego szczęścia i honoru z jakimż zaparciem się własnego ja stoi ta własnej cnoty męczennica, jak umie oschle zachować się przy tym, który jej serce posiadał niepodzielnie, jakiej słodyczy i ciepła wyrazem każde jej słowo do kaleki-męża, który tak ufnie honor swój jej zwierzył, a otworzywszy nagle zgasłe oczy na ujawnioną duszy miłość żony, na śmierć, a raczej zejście z dróg jej szczęścia gotuje się uroczyście w niezapomnianej, przedwieczornej scenie.

...„Dlaczego zasmucać tych ludzi?“... — szepce jej litość rzewna i serdeczność, gdy zaprzątnięty już myślą o zgonie, Horsztyński nie chce wyjść do swoich żenców.

Ta, względem której los nie znał litości, współczuje smutkom, pracy i niedoli i to jest drugi ton dominujący w akordzie uczuć jej skazanego na głód wieczny serca.

Nieukojoana w własnych burz zamęcie jest ukojeniem swego otoczenia i w tem jej wzniosłość, wielkość — lecz i tragizm.

Jedna to z najdramatyczniejszych postaci niewieścich w poezyi ojczystej, — a oczywista polskość jej i wiejskość, zatem prostota, godność i serdeczność czyni ją nadto i jedną z najdroższych.

Wpobok tych smutnych, biednych i cierpiących staje krwią pokalana niegdys pokutnica, która „ukochała“ miłością błękitną, bo kędyś w łonie jedynie łkającą ale niewyznaną, dla dopełnienia czary swej pokuty i odkupiła kapłaństwem swej duszy i swą ofiarą cichej słuźebnicy grzechy młodości występnej i krwawej.

...„Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei i wypiękniało na niej ciało. Oczy rozpromieniały się blaskiem cudownym i ufnością w Boga; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała i podobne namiotowi biednego pielgrzyma. Skarga jej była mała i skarżąca się jak płacz niewinnej dziewczyny, kiedy zadrżała ptakom skrzydeł niebieskich, widząc jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach“...

Widzi się smutną tę jawno grzesznicę przeobrażoną już i tak zupełnie i przerodzoną na ducha w biel taką, że mimo młodość zbrodniczą i mętną, wielbi się w niej jej dziewczęcość, a wielbi właśnie przez moc ukochania jak śmierć mocnego, cichego jak ona i ta wyklęta, skazana, wzgardzona, aniołem krain lodowych się staje, balsamem w smutku wybranego ducha i pomazaniem jego wielkiej misji.

Wynanka ta, to symbol pełnego ofiary serca niewieściego. Z oczu jej bije w stronę pomazańca jedynie korna, cicha, mądra cześć, burza jej włosów proch mu zmiata z drogi, z wcielenia winy, instynktu i zbrodni, rodzi się uosobienie skruchy i poświęceń, na mętnej ongi bagnie niskiej duszy wykwiata w godzinie zgonu, w chwili pojednania cudowna róża, symbol świętej woni, jaką roznosi miłość-ofiarnica i wszelki kwiat poświęcenia na bagnisku życia.

Ellenai, — to dziś jedno z najwznioślejszych wzruszeń pokolenia, jedno z najbliższych, najdroższych nam

imion, to natchnienie plastyka-poety *), który przypomniał swoim arcydziełem na schyłku zbiegłego wieku o naszych mękach, bólach i sieroctwie w takt najcudniejszej w poezji melodyi, jaką była w wieku połowie najgórniejsza pieśń Słowackiego, przedziwnie prosty i bezdennie smutny rapsod o Anhellim i siostrzycy jego pokutniczej.

Podobnie jak, ułamkowy niestety, dramat o Hołszyńskim, również inna fragmentaryczna resztką dramatyczna, którą tak bez uzasadnienia Nową Dejanirą lub Niepoprawnymi nazwano po zgonie twórcy, gdy jedynie tytuł *Romantyczni* byłby tu na miejscu, jest terenem działania paru niepospolicie pięknych postaci niewieścich.

Wśród „anielic“ Dyana i Stella.

Jak w *Anhellim* Syberya wpływa na ich dusze, grunt serc uszlachetnia, w górę wiedzie myśl i zwłaszcza na tej starszej znaczy się śladem powagi nad wiek i charakteru czystego jak łza a nie niewieściego.

Widnokraż nowych pragnień i zamyśleń odkrył się przed nią w smutnych tajgach mrozu, gdy twarzą w twarz, oko w oko pojrzała polskiej niedoli i krzywdzie i nowe łuny uczuć w niej rozniecił drogi męczennik narodowej sprawy.

A równocześnie z tą doniosłą zmianą i inna duszę przeorać musiała: — niewysłowiony to smutek i żal,

*) Jacka Malczewskiego

skrytość, by nikt nie przeniknął złożonej na dnie serca tajemnicy; na tle poczucia męczeństw całych rzesz, na tle litości dla nieprzeliczonych, góruje wielkie, przesłodkie uczucie, a zakazany owoc i daleki, uczucie święte, dobre, dziwnie jasne, a przecież gorczyz w młodą pierś sącząca.

Więc gdy ta gorczyz przepełni brzeg serca, gdy się na prawa jego ktoś śmiał targnąć, z jakimż akcentem wzgardy i godności wybuchnie w sobie zamknięta jej dusza!

Wówczas i skarga i łza i ironia i duma obrażonej i niezwykła moc tryska z potoku jej palących słów, kiedy dotknięta, raz chce dać odprawę upokarzającym nad wyraz i miarę oświadczy nom panka.

....„Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę i o niej nie mówiła wcale,
Traktując z tobą o siebie na funty:
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne buntury
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną.
— Jako? więc chciałeś hrabio, nie klękać
Jak przed Madonną na stepie odludną,
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się jej łzami napełnią zrenice
Lub z płótna tryśnie krew?...”

....„Dobrze więc! Oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie

Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
 A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
 A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
 I w każdej chacie stawiają żołnierza.
 Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
 Że krzyczą: „Boże!” a Bóg nie uderza
 Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze
 Modlitwą, o! tej wioski nie obroni;
 Jeśli mnie chłopki okrażą i padną
 Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
 Stała w niebiosach, a ja męką żadną
 Nie będę mogła wyratować ludu;
 Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
 Chce siły, która podobna do cudu
 Ten lud obroni: — to się do zamęcia
 Z panem... przychyle...”

Trudno o większą godność i powagę, to też ta nie-
 powszedniej piękności scena poematu najlepiej odzwier-
 ciedla głąb tej duszy polskiej, litosnej dla małych i bied-
 nych, a samej w równym stopniu na litość zasługu-
 jącej.

Tylko heroina sztuki Słowackiego może się wypo-
 wiadać z takim ogniem oburzenia w oczach i z takim
 dostojeństwem obrażonej dumy, pod którą tai się wszakże
 żal nieobeszły i otchłań rozpaczy.

Dla kontrastu do tej poważnej, na smutnym, poroz-
 biorowym gruncie wyrosłej dziewicy-Polki, prześliczna
 główka dziewczęcia polskiego, jedyny promyk słoneczny
 wśród czarnych chmur sposepnienia, wesoła, świeża,
 szczebiotliwa Stella.

Ucieleśnienie to pogody polskiej, uosobienie wiosny

i jasności, a szczebiot jej jak rozkoszny świegot ptaszęcy, niepowszedniego dodaje uroku temu dużemu i dobremu dziecku. W miarę żywa, w miarę poważna, łączy w sobie szczeropolski wdzięk naiwności w najprzedniejszym tej cechy gatunku, bez cienia udawania czy też nieszczerości, z najwykwintniejszym dowcipem i gracyą, a ten uroczy, — jak ją nazwano w dramacie — „dyabełek“ to i serce niezmiernie tkliwe i gorące, perły też łez lśnią w jej oczach tuż po kaskadzie wesołego śmiechu, ilekroć zetknie się znienacka z czemś, co się na smutek życia przed nią żali.

I na nią działał krwawy ból sybirski i jej śmiech mroził bezmiar krzywd i mąk, to też i na nią spadł cień melancholii, co łącznie z jej wrodzoną pustotą dziewczęcą czyni z tej „wiochny“ arcydzieło sztuki: — dziecko o smętnych zamyśleniach Polki.

Pokrewna tamtym, lubo nieco odmienna swym temperamentem, samodzielności oraz ognia pełnym, jest Aniela na cudne tło oktaf rzucona.

Przymieszka krwi południowej krąży w błękitnych żyłach pańskiego dziecięcia, a że przytem nie pomni matczynego ciepła, że sobie samej zdana jest na wolę, przeto nie bierność, nie naiwność prosta lecz samoistność i żdźbło zalotności leży w jej bujnej i rwącej naturze.

Drobna to wszakże i niedostrzegalna skaza na jasnej, kryształowej duszy, a jako szczerogrecki profil jej

lic białych, tak szlachetność jej świętych uczuć z nieporównanym rysuje się wdziękiem na tle górnego rapsodu barskiego.

I jej nie obcą jest surowa duma, co zdala trzyma wszelką śmiałość męską i ona cierpi cierpieniem bez granic, gdy nagły cios w nią ugodzi, lecz nad te cechy, wspólne niemal wszystkim kreacyom twórcy Sz w a j c a r y i, wybija się jej stanowczość, hart i siła woli i to, co kochać ją najbardziej każe, gorąca miłość Ojczyzny.

W uczuciu dla wybranego nad wszystkim mężna dominuje stałość, śle mu też śliczne o niej zapewnienie w klejnocie naszej poezyi, w swym liście:

...„O, mój Zbigniewie! nie miej ty obawy!“
 — Pisała panna — „nigdy ojca wola,
 Nigdy ponęta, nigdy przestach krwawy,
 Nigdy szalone szczęście lub niedola
 Nie skłonią mego serca do odmiany.
 — Bądź sławny: jesteś mój, — jesteś kochany...“

Ostatni wiersz tej strofy chwyta za serce swem gromkiem: „Bądź sławny!“ a ten sam refren, lubo w innej formie, grzmi i z ostatniej zwrotki arcydzieła — listu:

...„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
 Gwiazd, ani słońca, nie widzieć błękitu:
 Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie —
 Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
 Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
 Pomagałabym ci oczyma — do szczytu
 Szczęścia i chwały... choćby...“

To też ten ogień patriotki polskiej, to ukochanie sławy

i wielkości, wynosi cudnolicą dziedziczkę Ladawy ponad liryczne kochanki i żony, cudnem lecz osobistem uczuciem żyjących.

Stąd przejście do najczystszej w oddaniu się Sprawie, do najrzewniejszej w poświęceniu uczuć i istnienia i poetycznie również na czele wszystkich rówieśnic stojącej, do nieśmiertelnej córki wyklętego rodu, niepokalanej gołębiczy, Lilli.

... — „Pani ty jesteś niewinna?...

...Tego nie mogła uczynić kobieta!...”

— woła jej obrażona, wstrząśnięta kobiecość po oślepieniu Derwida przez wrogów.

Bo Lilla to najczystsza, najidealniejsza, cudna inkarnacja czułej kobiecości. Drży ona w każdym westchnieniu dziewczęcia, kołysze się w każdym słowie, łka w każdej ofierze serca.

Wesoła ongi, zaręczona bratu, przez złote struny Derwidowej harfy pocałowaniom usta zwierzająca, marzyła, śniła cudne, rajskie sny, nuciła pieśń zachwycenia.

Znagła na naród padł grom i przekleństwo.

Nie pora śpiewać, roić, kwiaty pieścić, „za łez strumieniem“ złote słońce szczęścia, rodzic w niewoli, ojczyzna nad grobem.

Więc czyste usta kazi podstęp córki, który ma ulgę przynieść mękom ojca, więc gardząc pełza u stóp okrutnicy, bowiem „zwycięża, kto broni“.

A kiedy przyszła stanowcza godzina, gdy boleść córki ma ustąpić miejsca świętej miłości ofiarnej Wenedy, szloch bezgranicznie smutny rwie się z duszy, — trzeba, by ojciec harfę kochał bardziej.

To, co nazywa płaczem rozrzewnienia przez miłość wspomnień i łzami wesela, — to żal serdeczny poświęconej córki, poniesionego na ołtarz ofiary najjaśniejszego promyka Wenedów.

Więc

...„Cóż mi teraz życie, cóż mi życie !“

— szepce złamanym, boleściwym głosem, choć wie, że inny wybór byłby zdradą, byłby niegodnym odstępstwem od Sprawy.

— Ach, jakże drżała, by Derwid nie wzgardził królowną-harfą dla królowny-córy !

Rozdziera serce jej rzewne rozstanie:

...„Ojczy, błogosław mi, może nie wrócę...“

przybija śmierć tej białej, wonnej róży polnej i widok gieźła na niej śmiertelnego, na którym śnieżny pęk narcyzów lśni.

...„O, bo w mojem sercu

Tyle jest złotych strun, jak na tej harfie !...“

— przypominają się jej srebrne słowa, gdy wraca jako harfa — oniemiała.

Niema, nie może być dziewicy czystszej, ni kraju swego lepszej miłośnicy, ni córki bardziej uwielbienia godnej.

Z kolei *O n a*, przedmiot uczuć twórcy, własnych wylewów jego bohaterka, ideał śniony od zarania dni, najserdeczniejsza powiernica marzeń i wzruszeń poety, w lirycznym pamiętniku duszy przezeń uwiecznionych: *O n a* z Szwajcaryi, *o n a* z miniaturowych arcydzieł lirycznych.

...„Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą;
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czym cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila...”

— W takiej chwili, na tle tak pięknej dekoracji górskiej łało się z duszy wyznanie miłosne.

Wówczas...

...„Płoneła jak kadzidło mirry,
I widać było, że nie wiedząc płonie.
Głębszymi oczu stały się szafiry,
I pędząca fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie
Wczesne zwiędnięcie dawały bławatom...”

Zdawałoby się, że to miłość wrząca, że upojenie tchnie namięte z serc:..

...„Ach! *O n a* była jak białe łabędzie...”

Delikatność słów, ekstaza spojrzeń, dziewiczość my-

śli, gołębia biel wzruszeń, rozbłękitnienie dwojga dusz wybranych: oto cudowny romans i sielanka, najeteryczniejsza pod słońcem w uczuciach, najdyskretniejsza w ich stylizowaniu.

Niepokalaność wionie od obojga; chwila to święta, podniesienie serc.

...., Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.
Ave Maria !..."

„W odbłasku tęczy“ objawiona oku, rozświetlona duszą poślubiona, nie tknęła zmysłów, nie wzburzyła żądz, — miłość poety to natchnienie święte, uduchowanie, kontemplacja, błogość, O n a, to cudna wizja bez krwi, zrodzona „z tęczy i z potoku piany“.

Żałobne tchnienie wspomnień ją uświęca, ubłogosławia jej lic drogich pamięć.

.....Choć się nigdy, — nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią — płaczem..."

— łka „biały gołąb smutku“ w jego piersi, kiedy słowicza skończyła się pieśń.

Tak kochał biało swoje anielice jeden z najczystszych geniuszów świata, by wciąż przeżywać krwawe chwile rozstań.

Ulatywała, jak sen przechodziła, każda z tych jasnych, eterycznych istot, jak sen bywała bowiem nieuchwytna:

...„lękałem się, że jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i kaskadę
I roztopi się i zgaśnie i zniknie...”

Na imię jej Bezcielesność.

Najpowiewniejsza wszakże bezcielesność, to cudny „sen nocy letniej” w fantastycznym królestwie Goplany.

Nieziemska to już kobiecość ten duch motyli z dwójgiem służebników, srebrem miesięcznej nocy przenizany, jak zefir lotny, jak kwiat pełen woni.

W najwyższych świata sztuki arcydziełach nie spotkać czegoś tak nieuchwytnego o takim miękkim, rusałczanym wdzięku.

Jak tkan pającza, drżąca w „babiem lecie” nad cichym półsnem spracowanych pól, tak ponad parną atmosferą zbrodni, nad duszną pieką żądź i namiętności unosi się ta przeźrocza wizya niebianki, wcielona dobroć, rzewność i dziewiczość, ucieleśnienie psotnych igrzań losu, najbłękitniejsza w poezji kobiecość.

Więcej już ciała i głębszą moc uczuć oraz u ramion białych skrzydeł dwoje ma miłośnica grobów i męczeństwa, z łzy Chrystusowej urodzona Eloë.

Treścią jej życia ofiara za bliźnie, za kraj nieszczęsnym i męczeński naród, wzniosłość najczystsza tchnie z jej dobrej duszy, bo jest zakłębieniem w kształt plastyczny tego, co na największą zasługuje cześć.

dziny, co wszystkie ciche dziewczęta poety. Wzrusza naiwność tej wątłej istoty, jej ukochanie, wierność, smutek przeczuć, serdeczna troska o los macierzyński, okrutne ciosy i ogrom sieroctwa, rozbraja ton jej rozłzawionych wspomnień, z taką prostotą snuty z biednej duszy :

.....Ale nie myśl, że ja dumna,
Lub z prostoty waszej szydę,
Albo się chłopami brzydę.
Ja, bywało, pieśni wasze
I wieczornie słucham lubo :
Bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam jak za serca zgubą
Tęsknię, słysząc na torbanie
Śpiew i tańców tupotanie...

— Ach, gdy nam zaśpiewał tatko
„ — to mnie małą dziewczynę
Łzy zalały : dreszcz radosny przechodził,
I krzyczałam : Chrystus Pan się narodził !
I krzyczałam i klaskałam tak w ręce :
— Chrystus Pan się narodził w stajence !...“

Więc choć jej kroku tamtym nie dotrzymać, godną jest jednak być ich siostrą młodszą a przejmując do głębi i ona, gdy obłąkania blizka i rozpacz w oblubienicy rozmarynie ślubnym cieszy się, roi i śmieje przez łzy :

.....Na tem miejscu sobie stanę :
I pomniąc na smutek dziewki,
Na me serce oszukane,
Na wstyd, — bom wstydu się bała,
Będę z radości płakała...“

Z twórczą precyzją skreślona Idalia to równie wielki, drogocenny typ.

Alabastrową płeć arystokratki przeświewa piękno i uduchowanie, mimo śmieszności i słabostí wielu, — poza a jednak poza pełna czaru, frazes a jednak frazes pełen czucia, mdła romantyczność ale i poezya: wszystko to w cudną spleta się harmonię, odmienną zgoła od całej galeryi, jaką na barwnej, bogatej palecie skupił wytworny malarz dusz niewieścich.

I sztuczny nastrój górnych rozanień i osmęcona przez kult pozy twarz, nie mogą złudzić i przesłonić oczu na wdzięk subtelny tej wykwintnej duszy, na melancholię rzewną i nęcącą i na szlachetność tej kapryśnej pani, owszem jej błędy i śmieszności nawet, uśmiech na twarze nasze wywołując, podnoszą jednak ten urok przedziwny, jaki tchnie zawsze z piękna i młodości.

Przeciwny biegun usposobień, natur, to te nieliczne kreacje twórcy, z których nie bierność lecz ruch, płomień, czynność bucha jak lawa z siłą elementu. Godna wspomnienia w tem miejscu Swentyna, nieokiełznana natura stepowa, gdy

...„nie czekając, aż poprawi strzału“

brat jej, Sawa,

„Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka,

A ta dziewczeczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit wziął ją tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W klęby i leciał wraz za tą szaloną
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów..."

Wir życia jednak, pęd działań, hart męski reprezentuje przedewszystkiem Roza.

W siostrze jej tkliwość, w niej moc tętni gromka,
krew jej żywiołem, obcowanie z walką, przymierze z tajną
mocą wróżb i znaków.

Surowość orla kryje jednak na dnie serce czujące
i krwawiące z bólu, tylko że serce to dla milionów, nie
dla jednego bije śmiertelnika.

Pojrzała w próchno serc skarłałej braci, znalazła
pustkę w miejscu męźnej wiary i czarna rozpacz prze-
żarła jej duszę.

...„Już lud wyróżniony i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni, —
I tak na wieki już! i tak na wieki!..."

Na nic już odtąd gromy, błyskawice, na nic ofiary
królewskiego szczepu, zguba udziałem lwich ongi We-
nedów.

Więc głos jej dzisiaj jak stal dzwoni ostra i w pieśń zemściwą spływa hymn rycerski, ona jedynie trzyma ją i żywi i bezgraniczna wiara w Wielkie Jutro.

I oto staje dumnie wśród popielisk, bowiem z wróżb na nią męska tchnęła pewność, że z nich mściciela po latach porodzi.

.....Ja ostatnia zostanę żywa,
 Ostatnia z czerwoną pochodnią:
 I zakocham się w rycerzy popiołach,
 I popioły mnie zapłodnią,
 A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,
 A łóżem ślubnem będzie stos rycerzy,
 Kto konając we mnie uwierzy,
 Skona spokojny:
 Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
 Lepiej niż sto tysięcy wroga,
 Lepiej od Boga..."

Tak ongi grzmiało w bożej przepowiedni. W nią zaufana czeka dnia, godziny...

— Aż wróci Wolność!

—

Od rwącej burzy nadmiernych sił wewnętrznych krok jeno jeden do orgii instynktu, w poczcie też kobiet wielkiego poety są i występne, krwawe egzystencye.

Na pograniczu płomienna Judyta.

Mściwa, namiętna, krew z krwi Izraela, to jedno z świętych w poezyi arcydzieł.

Pominąwszy jej moc cudotwórczą, wykwit ekstazy, żaru, egzaltacyi, każdy rys zresztą w tej naturze wscho-

dniej najdoskonalej odzwierciedla bujną, zdumiewającą intuicyę twórczą, z jaką w złożoną psyche szalonej hebrajki wczuł się subtelny malarz powietrzności owiewającej anielice ziemskie.

Po balsamicznej woni tamtych kwiatów, po aromacie lilii, róż, konwalii, odurzający odor namiętności.

....„Ja żydówka, ja Judyta!...“

— krzyczy z każdego czynu tej postaci, z każdego zrozkieżnania zrodzonego kroku.

Nie zatrze tego już przeningendy chrzest, uczucie kipiść będzie wciąż, jak dawniej, nieokiełznane, rozpiętane, wręce, to też do końca zachował poeta swej heroinie konsekwentność rysów, aż do tej smagającej wręcz swą gwałtownością sceny porwania jej i uwiezienia, o której wzmianką poemat się kończy.

Zbrodnia w rozmaite wcieliła się kształty w bogactwie dzieł geniusza, raz jej na imię jest Marya Stuart, drugi raz Balladyna, kiedyindziej Greczynka, żona zdrajcy kraju, pokutnika.

I zwierzęcość znalazła w galeryi tej miejsce, to „twarda“ dusza Islandki, Gwinony.

Kapryśność, nuda, zmienność, żądza wrażeń: oto podłoże zbrodni szkockiej Maryi, — wyrachowanie, zanik wszelkich uczuć, demonizm pracy do zbrodni dla zbrodni: to źródło niecných czynów Balladyny.

Przecież dla pierwszej ma się źdźbło sympatyi, tyle

w niej kobiecości, co prawda zewnętrznej, tak mało gruntownego zatrucia w jej duszy, i raczej lekkomyślność, gra nerwów, brak woli, złe wychowanie i odosobnienie nad czarną otchłan występku ją pędzą.

Sympatya to jednakże przelotna i krótkotrwała. Odpycha od tej grzesznicy wyzbycie się i zatracenie wszelkiej godności monarszej i, co po stokroć gorsze, osobistej i straszny zanik moralnego zmysłu, smutne kalectwo niewieściego ducha.

Ale artystycznie rzecz biorąc, jedno to z najszcześniejszych studyów psychologicznych w poezyi ojczystej, tragedia, słaba jako taka, zachowa wiecznie swą wartość jako pamiętny teren analizy i wiwisekcji człowieczego serca, niezwykle śmiało i trafnie i bystro dokonanej i utrwalonej.

Balladyna żadnej już zgoła, najniklejszej nawet i najbliższej dla czynów swych nie ma wymówki.

Jeśli zrozumieć się da zbrodnia pierwsza, to ileż wstrętu wywołują dalsze, jak znieprawioną ukazują duszę!...

U tamtej czyn był krwawy i potworny lecz ożeniony bodaj z krztą wzruszenia, z drżeniem rąk, serca, z wstydem słów i wzroku, tu jeno zimna zbrodnia dla niej samej, brutalna szczerłość oka oraz cynizm, nie grozę też wywołuje i nie przerażenie lecz dreszcz obrzydzenia.

Wyrażną fiziognomią zimnej okrutnicy odznacza się zona Lecha.

Sroga i dzika nie tylko katuje lecz z katowanych

śmie się naigrawać, a żadna władzy, staje się przebiegłą, mściwą, nieludzką, po prostu zwierzęcą.

Zwierzęca też jest jej miłość matczyna, krwawa, wyrodna, zła i barbarzyńska.

Większej twardości nie można pomyśleć w kobiecie-matce, w niewieście-człowieku, stąd też Gwinona jest ostatnim krańcem jej zwyrodniałej, odartej z uroku, jak kobiecie właściwym być musi, więc pogwałconej, kalekiej natury.

—

Nakoniec ta, która była dla geniusza wszystkim i nad wszystko, największą życia tułacza świętością.

O matce mowa.

W *Mind o w e m* jedna z najtwardszych grzmi scen w repertoarze tragicznym poety: przekleństwo prawej, surowej Rognedy a w *Balladynie* porusza do dna los ociemniałej, w świat idącej Wdowy.

Obie postaci to klejnoty rzadkie, bo we wspaniałej poezji narodu, w którym tak wiele ważyła matrona, niewiele mamy na nieszczęście matek. To też tem większa wdzięczność dla poety, co i spartańską miłość dla Ojczyzny i słodcz i zaczyn, szczeropolskiej matki z takim mistrzostwem w sztuce upamiętnił, a nikt, jak Polska długa i szeroka, bardziej do tego nie był powołanym, jeno ten wdzięczny po ostatnie tchnienie, ten kochający z całej duszy syn, ideał dziecka czci pełnego rzewnej, ten, który pisał krwią serdeczną słowa, szczytem miłości dziękczynnej będące :

...„Do ciebie, matko moja, twarz obróć;
Do ciebie znowu tak, jak anioł biały,
Z obłądnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały...”

To uwielbienie, ten szept modlitewny, wyłkany z duszy przed najdroższą z istot, to i uczucie własne względem matki ale i refren, choć odmienny w tonie, jaki drżał w całej twórczości poety, ilekroć śpiewał o aniołach ziemskich.

To też uwity z białych lilii wieniec niechaj się śnieży na tej drogiej trumnie, co nam tułacza ma powrócić wkrótce, a na nim jedno wymowne: „Od Polki”.

Kraków, 21 czerwca 1908 r.

...

...

...

...

...

...

...

...

...

WIESZCZ-PATRYOTA.

WIEŚCZ-PATRYOTA

Jakkolwiek poezya nasza głęboością i żywotnością problemów ogólnoludzkich dorównywa najpotężniejszym utworom postronnych, a niekiedy je nawet przewyższa, jak tego dowód w pierwszych częściach *Dziadów*, w szczytności *Trenów*, w wiwisekcyi serca nieszczęśliwego, sierocego ojca, któremu dzuma zdruzgotała szczęście, czy w wielkiej tezie *Nieboskiej komedyi*, — najwyższą przecież jest, jak izraelska, tam, gdzie o swoim śpiewa *Jerusalem*, gdzie grzmi złowrogim *memento* w dniach chwały, a łka nad straszoną dolą po rozbiciu, albo gdzie wieści bezdomnym i smutnym zniście królestwa Bożego na ziemię, jasne, słoneczne przewidując *Jutro*.

Dręczące wizye natchnionej *Kassandry*, proroctwa *Skargi*, *Konradowy bunt*, widzenie sługi Bożego w dniu łaski, wieszczba *hetmana*, głoszącego *Przedświt*, rozdzierające obrazy męczeństwa: — oto, co wielkie Słowo tej poezyi tak wyjątkowem czyni i jedynem, co je najwyżej stawia z wszystkich słów, jakie w godzinie wielkiego natchnienia dobywa z siebie twórczy duch człowieczy.

W rzędzie dostojnych *Krółów-Duchów* polskich, którzy swój naród wiedli drogą wiary, oraz miłości wszechogarniającej, co mu przed oczy stawiali nieszczęsną, umiłowaną, świętą *Męczennicę*, co mu kazali ufać niez-

chwianie i uduchawiać się a doskonalić na godne kiedyś przyjęcie Wskrzeszonej, — lśni pełne blasku nazwisko: Słowacki.

Zrazu to chłopię, sławy jeno żądne, wątłe, wrażliwe, przeczulone, smętne, złamane pierwszym zawodem miłosnym, co takim cierniem wrósł na zawsze w serce — nie zapowiada natchnionego wieszczka, jednego z pośród tych wybranych kilku, na które spływa łaska pomazania, — owszem, w Byrona wpatrzony młodzieniec, wirtuoz cudnej formy poetyckiej, zdaje się obcym wszystkim sprawom ziemi, więc i nieszczęściom swojej macierzystej.

Okres to jednak krótki i przelotny. W miarę, jak wokół słyhać pomruk burzy, w miarę, jak naród pocznie prężyć siły, by nienawistne zerwać z rąk okowy, twórca Araba, Maryi Stuart, Mnicha w pierś „magnetycznie“ bierze ów wichrowy pęd dookoły, uczuwszy się szczepem z tej samej, smutnej rodziny rozbitków, którzy po szerszy i pełniejszy oddech rwą się współcześnie z zapałem i wiarą.

W wir rozognionych umysłów i serc pada też pierwszy głos na polską nutę, z ducha poety znienacka wywarty, a głos ten bije w takt pobudki gromkiej, w płomienne hasło do broni i czynu.

Z tą chwilą o natchnionym śpiewaku Wenedów można powiedzieć to, co o Gustawie:

Obiit, ... natus est poeta Polonus...

Wtem grom. Powstanie. Wyjazd Słowackiego. Myśl nieodstępna idzie odtąd z nim:

...„Czemuś nie skołał, gdy wszyscy skołali?..“

I oto

...„Nagle nakształł słońca wschodu
Obaczył krzywde swojego narodu...“

Trzeba aż było takiego wstrząśnienia, aby uspioną polskość w nim obudzić, ale też odtąd twórca Anhellego już się jej nie sprzeniewierzy, odtąd naprzemian ze strun jego lutni wypadać będzie to tęsknota głucha, w straszną, nieukojoną przechodząca nieraz nostalgiczną i melancholię, — to żrąca rozpacz i palący ból, to pieśń rzewnego wspomnienia o kraju, to twarde: Sięgnę do trzew i zatargam, — to wiara w święte Jutro odrodzenia, by się nakoniec rozplynać w natchnione, niepokalane w wykwincie swej formy marzenie o Zmartwychwstałej.

I jawi mu się wczas w snach Jej wizya, szept modlitewny rwąc mu z zachwyconej, przelśnionej szczęściem, wniebowziętej duszy.

...„Miłość Ojczyzny! o, to słońce świetne
Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
Całe się czystym miłością oddadzą!...“

Prawda ta będzie mu już wciąż przytomną, stanie się źródłem jego czystych natchnień, Ojczyźnie tylko już odtąd służących i poświęconych sprawie pogrobowców.

Tak z wirtuoza formy i artysty rodzi się wielki wieszcz narodu swego, martyrologii naszej bard najdroższy.

Patryotyczna, górna nuta wieszczca i pierwszy akcent

bólu i wyrzutu, że kiedy naród brał broń w krzepkie dłonie, on się usunął i udziału nie brał, dzwoni już w jego przełomowym dziele, w smutnej historii greckiego powstańca.

Ból ten zostanie już w sercu tułacza i będzie ścigał wspomnieniem odstępstwa na każdym kroku, przy każdym zetknięciu z wszystkim, co ziemię mu przypomni drogą i choć na widok waśni i małostek, które za główny polski grzech uważał, zawrze wzburzeniem i wybuchem gniewnym, — ujrzy i siebie zaraz tuż w szeregu tych, co bez zmyy nie są w oczach Matki i bić się będzie w pierś z przejęciem świętem:

....„Mówię, bom smutny i sam pełen winy...”

Stąd cichy, łzawy, boleściwy smutek cechuje wielką poezję wieszczą, najdosjniejšie utwory poety dzwonią w takt powracającego co moment refrenu *Smutno mi Boże!* — w takt rozpaczy głuchej:

....„To okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie...”

Najwięcej wszakże łez tai się na dnie tych poematów, które są jakoby szczerem pragnieniem skupionej spowiedzi, namiętą żądzą rozgrzeszenia z win, choćby za cenę najcięższej pokuty, najserdeczniejszej, najkrwawszej ofiary. To *Kordyan* oraz *Anhelli*.

Pierwszego powołała do życia nie tylko „walka” z twórcą Konradowym, nie tylko samo pragnienie wskazania, że ani wielki bohater Adama, ani Słowacki-

Kordyan w dniu bitwy mężnym, owocnym czynom nie podoła, — dziełu początek dała i potrzeba uwydatnienia i wznowienia prawdy, pewnej, po stokroć stwierdzonej i jasnej, że się nie każdy, kraj swój miłujący, może w orężnej walce przydać ziemi, o której wolność naród z bronią czyni, a być jej wiernym i oddanym synem.

Kordyan kocha tak samo, jak Konrad, jednaka rozpacz przeżarła im dusze, lecz olbrzymiemu uczuciu obydwu nigdy, niestety, nie przejść w „czynów stal”, za mało sił w nich a za wiele serca.

A tak poeta pobijał poetę, wskazując niemoc w bohaterskim geście drogiego wszystkim kochanka ojczyzny i równocześnie Słowacki, syn ziemi, tłumaczył wyjazd swój w przeddzień powstania, bez ujmy dla swej synowskiej miłości.

Podyktowało więc utwór sumienie, ból szczeropolski, by go nie sądzono jako odstępce, bo to, co się stało, nie było zgoła wytworem tchórzowstwa, wykwittem chłodu i obojętności, lecz zrozumieniem swej właściwej roli: wie-szcza narodu, silnego uczuciem, nieprzydatnego w chwili, gdy potrzeba żelaznych prawic i chrobrego męstwa.

Lecz mimo wszystko wił się w krwawym bólu, że zycia ongi tak niemęsko szczędził

...„I wtenczas w myślach (jego) zamęt,
Zwątpienie było, — rozpacz nad ubita
Polską...“

Ileż łez gorzkich drży w listach do matki, do tej

jedynej na świecie istoty, która go jedna zrozumie, bo zna!

Lśnią i w precudnych jego wynurzeniach, ozdobie naszej poezji lirycznej.

Ból z nich serdeczny i smutek tchnie rzewny.

....„Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi Boże!...”

Pośród największych cudów południowej, upajającej pięknem swem przyrody, stawał wędrowiec w zadumie posępnej i łzawym wzrokiem i stęsknionem sercem tonął

....„Tam, gdzie nad Polską smutne gwiazdy świecą,
A jedna większa, co się krwią zalewa,
Jakby złociła jasne czoło, winne
Przed Panem Bogiem, bo ciągle omdlewa
I ciągle oczy zamysłone — gminne,
W daleki Sybir prowadzi, jak mewa,
Białemi skrzydły lecąca i przodem
Przed nieszczęśliwym już dawno narodem...”

Powrót na zawsze wszakże miał odcięty, więc gdy tęsknota wysysała życie z rozdrżanej pieśnią, rozszlochanej duszy, niewysłowiony żal rozpierał piersi i snuł się cudną melodią słów:

....„Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,

Płynąc po świecie...

Więc że modlitwa dziecka nic nie może,

Smutno mi Boże!..."

Najmniejszy szczegół, co się na ból życia skarżył
widokiem swej nieszczęsnej doli, dobywał z wnętrza
przypomnienie nagłe, a cóż dopiero, gdy się twarzą
w twarz zmierzył z symbolem hańby i niewoli:

...„Kto widział w Rzymie posąg niewolnika

Germana, który w smutku cicho stoi,

Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,

Zawiera bólu, gdy się uspokoi

I kraj przeszłości myślami odmyka

I o wolności kiedyś dawnej roi..."

Najczystszy jednak wyrazem tęsknoty i serdecznego
ukochania ziemi, którą opuścił, by więcej nie wrócić, jest
jego wielka, wzniosła pieśń sybirska.

Każda tu strofa poetyckiej prozy żywą łzą bólu krwa-
wego ocieka, a każde słowo spowiada się Polsce z naj-
sekretniejszych wzruszeń geniusza.

Myśl o nieszczęściu biednego narodu, troska o przy-
szłość męczonych pokoleń, padanie krzyżem przed Gol-
gotą tych, co dla wolności na piekło udręczeń szli z błą-
skiem w oku i pogodą w duszy, kazały twórcy nieśmier-
telnej pieśni złożyć swe szczęście na całopalenie, sta-
nąć za cały naród przed obliczem zagniewanego Boga,
wszystek ciężar win i łez naszych na swe serce wziąć
i tem zaparciem się własnego *ja*, cichą ofiarą swej aniel-
skiej duszy, okupić przyszłe święto wyzwolenia.

Szczytna, jedyna w świecie ekspiacya i wzruszający do dna akt miłości.

...„Biada, kto odda ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa!
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy
I padnie kiedyś w popiół taka głowa.
Żadną łżą taki Boga nie poruszy —
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Ktoreby kiedyś jego Bóg rozumiał —
I będzie jak ten dąb umarły szumiął...”

— widnieje odtąd na sztandarze wieszczka.

Dla niej, dla świętej Sprawy się poświęcić, takim na duszy stać się nagle białym, by Bóg, ofiarą syna poruszony, na jego drogą musiał wejrzeć macierz: — oto, co w wielkiem i natchnionem dziele ślubuje wieszcz-patryota.

Cały poemat to jeden krzyk bólu nad umęczeniem i krzywdą narodu.

I po raz wtóry dotknie jego twórca tej przeraźliwej struny, gdy opowieść matki Makryny na łżę i smutkiem tchnący wiersz przełoży. Wyśpiewa tutaj wszystką rozpacz swoją, martyrologię nieszczęśliwych ofiar i będzie patrzył w oczy męczennicy, pełen czci rzewnej

....„jak syn na kolanach,
Który dwojakię ma kadzidło w darze:
— Łży albo zemstę, co matka rozkaże...”

A ze stawania tego twarzą w twarz nieszczęściom naszym, niedoli i łżom, zrodzi się w piersi wieszczka

wiara święta, że nie podarmo krwią ta ziemia broczy, — i przyjdzie chwila ubóstwienia męki, zagra pod sercem ton mesyaniczny:

....„O Polsko!... Jesteś córką Boga
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego!...“

I ten, co ongi zwalczał mesyanizm, sam w rządzie jego apostołów stawa.

To przekonanie święte i niezłomne, żeśmy do wielkich powołani dzieł, co w złotoustym już się tai Skardze, co się kołysze na wielbiących Pana słowem psalmistów wargach Kochowskiego, a jako dogmat pewne, bucha z siłą z twórcy Wiesława, śpiewaka Sybilli, zwłaszcza zaś z świętych, namaszczonech proctw dreźnieńskich Dziadów, Psalmów i Przedświtu, — żyje i w sercu pieśniarza Sybiru.

Ukląkł przed prawdą tamtych i uwierzył:

....„Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
Że ona tylko ostatecznym końcem
Żywota ducha ludzkiego, że ona
Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłować i oddać ją słońcem...“

— Niepokalana!

To też grzech wszelki i zmaza tej świętej Mistrzynie ludów i ich Przodownicy, straszny, gwałtowny nieci w wieszczu gniew. A wybuch taki już swą namiętnością, niepowstrzymanym pędem oburzenia świadczy, że jeno bezgraniczna miłość, że tylko czarna, przepaścista rozpacz te krwią pisane słowa mu natchnęły.

Co krok spostrzegał brak męstwa i sił, dzień w dzień goryczą połała go waśń, na jaką patrzył w łonie emigracyi, — więc kiedy nagle pojrzał tam, gdzie z ruin bije idea jedności, ofiary, chrobrzego męstwa i miłości świętej, — zawrzał płomieniem wzgardy i wybuchnął.

Kochał, więc cierpiał, — cierpiał, więc gdy w sercu wezbrał pałacy wstyd i rozpacz łez, — miast łkać i ręce opuścić bezradnie, poprzez szloch duszy twar-dem grzmiał wzburzeniem, i bodaj furią gniewu i „targaniem trzew“, serc i sumień pragnął nam zrumienić lica i zmusić do wejrzenia w siebie:

....„Polsko, lecz ciebie błyskotkami łudzą;
 Pawiem narodów byłaś i papugą.
 A teraz jesteś słuźebnicą cudzą...
 ...Przeklnij — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
 Jak Eumenida przez węzowe różgi...
 Boś ty jedyny syn Prometeusza,
 Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi...
 Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
 Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.
 Szczeknij z boleści i przeklinaj syna,
 Lecz wiedz, że ręka przekleństw wyciągnięta
 Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina
 I z ramion ci się odkruszy zeschnięta —
 I w proch ją czarne szatany rozchwyćą,
 Bo nie masz władzy przekląć — Niewolnic!...“

To krzyk człowieka, co chciał swój ideał widzieć najczystszym, najbielszym, najświętszym, a widzi wiele na nim skaz i plam i ukochawszy na życie i śmierć,

rwie pierś swą własną w kawały z rozpaczy, bluźniąc świętości swojej w dniu zwątpienia.

A krwawość smutku dochodzi zenitu, gdy się poeta bystrzej wpatrzy w życie i w małość swoich nieszczęsnych współbraci.

....„Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! Ha, to mię przestrasza.
Kościuszek przeczuł was, krzycząc: Skończył!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera —
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera!...“

Straszny to, życie kosztujący śmiech, bo się z krwi serca i łez wewnętrznych rodzi. I oto modli się o Czyn rycerski, o obudzenie się z martwych tej mocy, przez którą ongi tyleśmy wazyli w życiu narodów i dziejach ludzkości:

....„Wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
Niech nam Czarnieckich całych odda truna!
Godzinę tylko. Boże, niech brodate
Z mogił powstaną dziecińcy Peruna
I hej! przez dawne Atyli bezdroże!
Godzinę tylko życia, Wielki Boże!...“

Lecz niebo milczy, a gorycz niewoli codzien łyzy nowe niesie i rozpaczę i gdy tam, w Polsce, wszystek dech stłumiony, a tajgi mrozu są świadkami mąk, tu na wygnaniu jeno, pośród obcych, miejsce na słodką nadzieję dni przyszłych oraz na krwawą, przebolesną skargę:

....„O matko Polsko! jak dawno nie grzmiało
 Na twoich stepach takie dzikie hasło!
 Jak dawno ludziom na stepie nie dniało
 Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!
 Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,
 Zło się na twoich obszarach rozpasło.
 Zaledwie chłopiek dawną wiarę chowa
 I serce... A ty się już rodzisz nowa,
 W żłóbku serc naszych biednych położona.
 Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów;
 Matki my biedne, bo z naszego łona
 Płynie ci ogień, roztopiony ołów,
 A ty tak jesteś karmi upragniona,
 Że ci za matki my i za aniołów
 I za obrońców, za dom i za szzańce
 Musimy dziś być — my — sami wygnance...”

Aby zapomnieć o bolesnem Dziś i póki wiara
 w Jutro odrodzenia nie przejdzie w świętą pewność
 w jego duszy, poeta szuka we wspomnieniach chwały
 wielkich herosów, ukojenia łez.

Bo chociaż widział wiele zła w przeszłości, kochał
 ją z wszystkiej mocy swego ducha.

....„Dawna ojczyzna moja, o, jak trudno
 Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
 Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
 Wabił na dawnych opłotki cmentarzy...”

Tak na Polaka, jak i na artystę, namaszczonego po-
 mazańca Piękna, działała ona swą krzepkością męską,
 orlimi loty i młodością bujną.

....„Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
 A potem ręce znów na harfie kładnę:

Wstają mi z grobu mary takie ładne,
 Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
 Że po nich płakać nie umiałbym szczerze,
 Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
 A każda, co chce, z mego serca bierze..."

To obcowanie wieszczą z chrobrem Wczoraj
 znaczy się w jego wspaniałych utworach, na rycerskości
 naszej osnuwanych.

Najukochańszą epoką poety jest nasz ostatni, hero-
 iczny poryw z dni jeszcze wolnych, choć już boleści-
 wych, — Bar, z legendową na czele postacią, rycerzem-
 księdzem, wielkim świętym polskim i tej rapsody do-
 stojnej i wzniosłej poświęca górny dramat i poemat.

Dobrywa z pleśni niepamięci męstwo, umiłowanie
 ojczyzny i wiarę tych szczeropolskich i czcigodnych
 dusz i kędy może jeno, drogą postać konfederata w dzieła
 swe wprowadza. Jest więc w Anhellim, jest w Śnie
 Salomei, mówi do smutnych pokoleń w Horsztyń-
 skim, a wszędzie jako przeczyste wcielenie nieskazi-
 telnej miłości ojczyzny.

Czciciel piękności wywołuje z mroków ich posą-
 gowe postaci i czyny i chyli czoło przed ich „sercem
 złotem“.

...„Dlatego w dawnych ludziach złotą wiarę
 I złote serce miłuję nad własne.
 — Dalej więc — mówcie mi znów serca stare,
 Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
 Odwińcie srebrną, trumienną czamare,
 Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
 Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
 Na urok pieśni z nieba zlatujące!“

I zlatywały ku pełnemu czci i ukochania synowi i piewcy, a twórca krwawej tragedyi Wenedów wszystkie blask swoich genialnych natchnień zlewał na starców wskrzeszone oblicza.

I w odleglejszą rwał się jednak przeszłość i urastały mu pod piórem kształty, po dzień dzisiejszy nie mające równych pod względem siły, wdzięku i rzewności. To młody junak stepowy, Mazepa, to Złota Czaszka, strażnik krzemieniecki, dziedzic najdroższych polskim sercom ojców, to ów dostojny nakoniec Król-Duch, co w swojej piersi zestrzelił i skupił Piastową dobroć i mocarność Śmiałych.

Lecz przeszłość jego, przeszłość pogrobowca, to i te straszne a niedawne dni, gdy się skowany naród rwał do broni, aby z rąk pęta a z czół hańbę zdjąć i wtedy twórca powietrznej Goplany oraz przesłodkiej sielanki szwajcarskiej, przeraźliwemi ścinał krew scenami, stawiając z bólem przed oczy pokoleń męczeństwo brańców, rozpacz konających, zdradę nikczemnych i łkanie rozbitków.

To rozpętanie dzikiego żywiołu w Śnie Salomei, to wdeptanie w proch najszlachetniejszej młodości Szczęsnego, to pogwałcenie, zmiżdżenie i śmierć nieszczęśliwego narodu wyklętych.

Zwłaszcza potomek zdrajcy nieszczęśliwy, walka dwóch wielkich obowiązków w duszy i dwóch najświętszych uczuć ziemskich w sercu, — to jeden z najdostojniejszych motywów w poezyi. Trudność problemu, w którego ujęciu Polak na wodzy winien trzymać

twórcę, by zbyt złowrogiej struny nie przeciągnął i zamiast bólu nie obudził wstrętu, — Słowacki jeno mógł podjąć i zmódz, — a żal i smutek, jakie tchną z dramatu, to nowy wyraz miłości ojczyzny, nad którą bolał poeta serdecznie, że tak krwawiące miała w sobie rany.

Szczęśny jest może najdramatyczniejszą postacią w poezji tragicznej, bo jest odbiciem tych uczuć i przejść, w jakich wir żaden naród nowożytny tak bezlitośnie wtrącony nie został. Żaden nie słyszał strasznej przepowiedni, iż nieprzyjaciel nastąpi postronny, aby niebawem ujrzeć, jak się słowo zamienia w ciało i czuć, jak wstydu krwią nabiegłe serce kołysze na dnie przeraźliwą pieśń:

.....„Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki
Widzę umarłą.....“

Śpiew ten przez usta natchnionej orlicy rzuca w świat pieśniarz niedoli Wenedów i stwarza jedno z najdroższych arcydzieł, po wieki wieków pomnik tej tragedyi, której herosem była trójrozdarta, umiłowana przez niego Ojczyzna.

Poeta kreśli jej szlachetność czystą, co raczej klątwą niż błogosławieństwem jest w życiu ludów i katastrofę sprowadza bolesną na zasłuchanych jeno w harfę świętą, gdy zdala ławą szedł najezdnic zbrojny.

I choć Wenedzi wespół z Lechitami, to, wedle wieszca, ziarno, co w przyszłości bujny, owocny plon ma wydać, — Polskę, — przecież sam nastrój tragedyi

posępny świadczy, że smutny pogrobowiec polski inny, po stokroć krwawszy, widział obraz oczyma czystej, kochającej duszy, — że tworząc swoje nieśmiertelne dzieło, kolebkę Polski jednoczył z jej trumną.

.....„Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało,
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani jak Chrystus i gdy w nich konało
Serce i gorszą jeszcze, niż konanie,
Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.....“

— szeptał boleśnie, ilekroć się zetknął z czemś, co znikomość doczesną stawiało przed oczy syna, przesłonięte łzami.

Ta sama wszakże Roza, co nas wieszczbą swą na proch ściera i krew ścina w żyłach, krzepi nas wielką wróżbą wyzwolenia.

W jasnowidzeniu mężnej prorokini staje dzień pomsty, odwetu i życia, jawi się blizki, upragniony mściciel.

Już w łonie ziemi „wolność się odzywa“.

.....„Czuję trumnianym pachnący modrzewiem
Naród, i w trumnie grające zepsucie,
A jednak — pod tym mogił chwastem, plewkiem,
Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.....“

— Oto Wskrzесiciel.

„Wyższy o całe mogiły“ od reszty aktorów wielkich, wiekopomnych zdarzeń i w *Kordyanie* już nań pasowany, uderza gromkiem, jędrnem swem imieniem po

ofiarniczej śmierci Anhellego z sztandaru tego, co przez ziemię grobów pędzi z radosnem, życiodajnem: *W o l n o ś ć!* — i żyje w cudnych strofach geniusza, będących jego narodowem *c r e d o*.

Gloryfikator wielkich dusz herosów, miłośnik czynów rycerskich swych przodków, kocha lud więcej, niż umarłych kości i w nim jedynie polską przyszłość widzi.

Choćby ta przyszła Piastowa ojczyzna nie miała w sobie nic z ich lwiego męstwa, które poeta wielbił i opiewał, — niech będzie błogosławiona!

.....„Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna,
Choć jasnej broni, a gardzi nikczemną,
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą, jak chłopek, prostą ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać miała, — błogosławię!.....“

Byle najrychlej dożyć jej wskrześnięcia, byle się z grzechów przeciw niej oczyścić, bo opóźniają chwilę zmartwychwstania!

Jakże je smagał w imię przyszłych dni! Dla nich i przez nie zrodził się Anhelli, Grób Agamemnona, Lilla Weneda, Dantyszek, Beniowski. Stąd melancholią owiane pytanie, jak ciężką płytę kamienną zdjąć z grobu, gdy ją win tyle jeszcze cięższą czyni.

.....„Czytałem kiedyś wielkie porównanie,
 Jak wystawiony na niebieskie rosy
 Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
 Listek uwiedły, co mu spadł na włosy,
 Odrzuca z czoła: — takeś Ty skaliste
 Nakrycie grobu precz odrzucił, Chrystel
 Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
 Kiedy się skończy sen pełen omamień:
 Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
 Aby odwalić nasz grobowy kamień?
 Ów marmur, pełny naszych cierpień rytch,
 Na którym modlą się dzieci zabitych?.....“

A jednak wierzył wszystką mocą duszy, że dzień
 naszego wyzwolenia blizki.

.....„I już nam widać przez oczy proroka,
 Jak Polska nowa na stolicy siada,
 Kopułą dachów swych świętych wysoka,
 A niska, kiedy przed Panem upada.
 A kiedy patrzy w świat, orlego oka,
 A jako hymn harf, kiedy z Panem gada,
 Oblana wdzięków dziewiczych szkarłatem,
 A jako tysiąc grzmotów, gdy ze światem.....“

Taka w mistycznej ekstazie poety śni mu się Polska,
 ludów Przodownica, uosobiona Piękność, córka Słowa
 i w jasnowidztwie wieszczca

.....„już uderza
 Duchem na wszystkie słowiańskie plemiona
 I do żywota budzi i przymierza,
 Wielka i silnym podniesiona lotem
 Nad ludy, w ludach budzi żywot grzmotem.....“

Jeno

.....,przysiężmy, że kraj zmartwychwstanie, —
A przysiężemy, — to zmartwychwstać musi.....“

Czasem w przystępie chwilowej goryczy, poeta z swoich upojnych objawień przechodził z nagłą w bezsilny szept smutku:

.„Ciągle powtarzam, że kraj się już pali
I na świadectwo ciskam ognia zdroje —
A to się pali tylko serce moje.....“

— ale daleko częściej, a już stale w ostatnim życia smutnego okresie, oglądał okiem duszy wielkie święto i dotykalnie niemal z niem obcując, w niewysłowione wpadał zachwycenie.

I wonczas biegło mu z duszy

.....„Objawienie pełne cudu,
Myśl jak mara niespodziana,
Z piersi (jego) wychodziła
Nakształt gwiazdy lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca;
Czasem słońce w półobłoku
Oczom wychodziła, rosła,
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna jako Anioł Pana,
Silna, jako skra zapalna.....“

Takie się słowo niosło odtąd z ust „wodza“ narodu, Króla-Ducha Polski, Bogu jedynie i ojczyźnie swojej, świętości pełnem oddanego sercem.

To już nie twórca tylko nieśmiertelny, ale natchniony kapłan swego ludu, który Bóg poczcił wybraniem ze wszystkich, — posłannik Boży, na to Polsce dany, by stał na straży „czystości“ narodu, nigdy mu nie dał zniżyć z wyżyn „wielkości“ i ziścił słowa:

Przyjdź Królestwo Twoje!..

Że takiej misji poświęcił swą duszę i że się całym jej oddał jestestwem, by po ostatnie czyn ten pełnić tchnienie, świadczy. Genezis z ducha i Król-Duch.

Przyszłość w wolności, wiara, żeśmy niegdys po to upadli, aby wstać wielkimi i za narody „gnuśne“ być ofiarą: — to święty dogmat wieszcz-patryoty.

Lecz chociaż wołał namaszczone głośm:

.....„Narody ziemskie! Kiedy was porażą,
Kiedy stracie nadzieję,
Słuchajcie wieszczów, byście wiedzieli, co każą!....“

— głoś ginął w pustce i ciszy.

Po latach oddźwięk znalazł jednak w sercach i dziś zaciężył nad nimi.

Nad pokoleniem dzisiejszem widomie unosi się wieszcz- zaklęcie:

.....„niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.....“

i niezachwiana wiara geniusza,

.....„Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze.

Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze.....“

Bo nie artystę-wirtuoza jeno ukochał naród w swoim
geniuszu, lecz głównie wieszczą, co oczyma ducha wi-
dział Zaranną Gwiazdę wyzwolenia i twórczość swoją
Ojczyźnie poświęcił.

Więc zasłuchany w jego słowo wieszczę, dziś,
w wielkie święto piewcy naszych mąk, zwraca się ser-
cem w stronę jego prochów, z czcią o królewskiej jego
szepcąc lutni:

.....„Nie palce ciebie, liro, wydeptały,
Ale te pieśni ciężką nogą ducha,
Który wywraca zbrojne zamki, skały
I naród gotów oderwać z łańcucha.....“

Ducha miłości!....

Kraków, dnia 21. czerwca 1909.

GENIUSZ TRAGICZNY.

Że o poezyi dramatycznej u nas, w ścisłem tego wyrazu znaczeniu, więc o artystycznych przejawach narodowej tragedyi, dramatu i komedyi, może być mowa dopiero w dziewiętnastym wieku, nie ulega już dziś wątpliwości.

Wszystko, cokolwiek wydała literatura polska na tem polu przedtem, jest niezaprzeczenie bardzo szanowną i czcigodną próbą, niemniej wszakże tylko i wyłącznie próbą, albo raczej zarodkiem czegoś, co w przyszłości, przy usilnych staraniach i powszechnie odczuwanej potrzebie stworzenia rodzimej dramaturgii polskiej, mogło się być rozwinąć, jeżeli już nie w poważny dramat czy tragedję, to przynajmniej w arcyciekawą i pulsującą swoim własnem życiem, obyczajowo-społeczną komedję narodową, — co się jednak nie rozwinęło w nic godniejszego uwagi ze względu na niesprzyjający pod posiew dramatycznej produkcyi grunt polski w średniowieczu a zarazem w szesnastem i siedmnastem stuleciu, aż po koniec ośmnastego.

Przewaga lirycznego względnie epickiego i refleksyjnego pierwiastka u twórców tych czasów a nieporadność i nieumiejętność połączenia ich i zespolenia, — co stanowi, jak wiadomo, obok czynnika *δράση*, zasadniczą cechę poezyi dramatycznej, — brak zresztą zainteresowania się tą stroną sztuki, — obok tego zaś niechęć

do miast, jedynie do stworzenia teatru powołanych, nizki poziom umysłowy u ogółu szlachty a zczudzoziemczenie, zgermanizowanie miast polskich przez dającą się na wielu polach po dzień dzisiejszy, odczuć, kolonizację niemiecką: — wszystko to, razem wzięwszy, nie mogło żadną miarą przyczynić się w wiekach średnich ani na progu ery nowożytnej do zaszczerpienia oryginalnej twórczości dramatycznej w Polsce, że zaś i później, przez ciąg szesnastego wieku, okoliczności złożyły się dla rozwoju sztuki niepomysłnie, że umysły zajęła niepodzielnie walka stanowa oraz religijna, — więc i te bardzo nieliczne przykłady dyalogów, jakie tu i ówdzie nieśmiało jęły się pokazywać, stanowiły raczej skuteczny lub mniej skuteczny środek agitacyjno-polemiczny, zabarwiony tendencją antikatolicką lub broniący prawowiernego charakteru narodowości polskiej, co naturalnie sztuki dramatycznej, jako takiej, nie tylko do względnego udoskonalenia ale nawet do średniego stopnia wyrobienia doprowadzić nie było zdolne.

Wybijające się na czoło ówczesnej Polski umysły, humanistycznie głęboko i wszechstronnie wykształcone jednostki, jak Kochanowski, Górnicki albo Szymonowicz, chciały przez śmiałe swe próby rozkrzewić w swem społeczeństwie kult helleńskiego czy starorzymskiego tragosu, w arcydziele Kochanowskiego leżało nawet usilne staranie pogodzenia z klasyczną formą tragiki greckiej, szczerze polskiej, współczesnej, więc mocno ogół obchodzącej treści: — ogół ten wszakże zbyt mało był wyrobiony, by się na subtelnościach artystycznej natury

mógł poznać a odpychał go od cennych usiłowań poetów współczesnych, obcy mu i mało znany świat grecki, z którego życia czerpał Kochanowski temat do swojej *Odprawy*, a Szymonowicz do *Pentesilei*.

Pociągały go raczej swą iście rodzimą i wrodzoną większości tego czasu rubasznością, charakterystyczne intermedya żaków w dyalogach pobożnych czy allegorycznych, które też, dzięki tej sympatii, przez całe lata, bez najmniejszej z upływem czasu ewolucyi w kierunku dodatnim i bez widocznego postępu, trwały i bawiły bezkrytyczny ogół, — i tu wszakże, niestety, brakło tego zainteresowania i co za tem idzie, poparcia, któreby z tych pierwocin mogły być niebawem wytworzyć rdzennie polską, dosadną w charakterystyce osób a jędrną w języku i nieocenioną, ze względu na obyczajowe swe tło, społeczną komedję polską, jaka niezawodnie z barwnej galeryi Albertusów, Skoczylasów, Moczygębskich, Gryzidzbanów i innych, tym podobnych, popularnych typów, mogła się być rozwinać.

Zniszczyła je w zarodku rozwielniająca się nad miarę z biegiem wieków dramaturgia szkolna, nie zdobywając się sama na nic, co by trwale pozostać mogło i o sztuce dramatycznej wśród pokoleń świadczyć.

A tak ani dramat klasyczny, mimo rzetelnych zasług odosobnionego Kochanowskiego i Szymonowicza, mimo nielicznych przekładów czy przeróbek z Eurypidesa bądź Arystofanesa z jednej, a Plauta, Terencyusza i Seneki z drugiej strony, — ani elaboraty współczesnych humanistów obcych w guście Lochera albo Aretina, — ani

wreszcie dyalogi o treści biblijnej, których prototypem jest rejowski *Żywot Józefa i Szymonowicza Castus Joseph*, — nie wytworzyły u nas tej gałęzi piśmiennictwa, która ze wszech miar słusznie za szczyt poezji uchodzi, —

— ani też z drugiej strony, co ze względu na sprzyjające narodowej komedyi warunki, daleko nieomal smutniejsze, — sztuki rybałtowskie i moralitety karnawalowe owoców nie wydały żadnych. Stworzone jakby na to, aby się w pełną szczeropolskiego, zdrowego humoru przerodzić komedię, zmarniały wrychle i utonęły w powodzi dziwacznych elaboratów szkolno-konwiktowych, nie zostawiwszy nic, coby z sztuką prawdziwą w odleglejszem bodaj zostawało powinowactwie, — wszystkie też intermedya polskie i farsy rybałtowskie, czy im na imię *Wyprawa plebańska* czy *Albertus z wojny*, wszystkie moralitety oraz krotochwile, choćby w swoich najlepszych w stosunku do reszty przejawach, jak *Tragedya o polskim „Scylurusie“ Jurkowskiego* lub *„Z chłopą król“ Baryki*, — są tak ubogie pod względem scenicznej treści i dramatycznej inwencji swych przygodnych twórców, że mimo wielu cech wspólnych i licznych punktów stycznych, nawet z włoską farsą komedyi dell'arte nie mogą iść w porównanie.

A jednak krotochwila *Baryki* do ośmnastego jeszcze wieku włącznie grywaną była po dworach dla zabawienia niewybrednej szlachty i cieszyła się, jak już z licznych tych przedstawień widać, niezmiernem powo-

dzeniem. Jeden to dowód więcej na przywiedzioną wyżej okoliczność, że szlachta polska nie odczuwała zupełnie potrzeby estetycznych wzruszeń dramatycznych, o czym zresztą świadczy także fakt, że dworski teatr Władysława IV. i reprezentowane na nim opery, balety, intermedya oraz farsy włoskie do zmiany upodobań i pogłębienia aspiracji artystycznych znacznie się nie przychylił, powodując jeno nieliczne i odosobnione przekłady i przeróbki wytwórczości włoskiej o elegijnym i melancholijnym kolorycie i subtelniejszym poczuciu arcyzmu.

Przez cały też wiek siedemnasty pojawiają się u nas w dalszym ciągu jeszcze niewyszukane dialogi mięso-pustne lub allegoryczne, bo nie wywołały pośród mas oddźwięku także usiłowania obydwu Morsztynów, by na jałowy grunt polski przeszczepić tragedję Francyi.

Reformy upodobań dramatycznych nic prędko nie zdawało się zapowiadać.

Tem czcigodniejszą jest też późniejsza ewolucya dramaturgii polskiej i zwrot w umiłowaniu scenicznego piękna, że przyszły pod znakiem reformy szkolnej i co za tem idzie wzmoczenia się oświaty, tem wybitniej zarysowuje się postać i działalność wielkiego reformatora narodowej szkoły, bo nie kto inny, jeno autor znakomitej rozprawy O skutecznym rad sposobie dał pochop i w tej mierze do zmiany na lepsze.

Z wystąpieniem Konarskiego wkraczamy na polu dramatycznej sztuki w stadyum przeobrażenia i zupełnego w pojęciach przewrotu, do postępu bardzo cennego

po dotychczasowym zastoju i zaniedbaniu, zarówno w treści przejawów scenicznych, jako też w architektonicznej, formalnej ich stronie.

Poczyna się ów ruch z każdym rokiem coraz wydatniejszy i coraz się wzmagający, by po całych latach ugorowania na polu dramatu, stworzyć coś godnego ościennych narodów i nie pozostawać poza nimi w tyle a początek tego, gorączkowego wprost niebawem, ruchu, daje ówczesna szkoła: Pijarzy i Jezuici.

Po raz pierwszy znajdują w Polsce ogólniejszy posłuch tragicy francuscy: — Corneille, Racine, Crebillon i Voltaire, po raz pierwszy zjawia się też coś, co komedią sytuacyjną naprawdę nazwać już można i za genialnym Molière'em idąc, wyszydza i ośmiesza, bardzo jeszcze, rzecz prosta, zrazu nieudolnie, co wytknięcia i wyśmiania godne.

Czyni to ks. Bohomolec, zbyt naiwnie może i niezręcznie, bo go w dodatku krępuje konieczność unikania sylwetek niewieścich w utworach dla szkoły tylko z początku pisanych, niemniej jednak jest to już zapoczątkowanie poezji dramatycznej w szlachetniejszym stylu a od tych pierwszych, niedołącznych kroków ku pełnym werwy i swobody komedynom Zabłockiego droga już niezbyt daleka i trudna.

Nie byłoby jednak i do tego przyszło tak pospiesznie, gdyby nie cenna opieka królewska, jakiej Stanisław August literaturze ojczyściej i sztuce, przez cały ciąg nieszczęsnego swego panowania, wciąż dawał do-

wody, — gdyby nie mnożący się, dzięki tej opiece i reformie szkolnej, zastęp ludzi prawdziwie i wysoko już wykształconych, — gdyby nie najważniejsze dla twórczości dramatycznej wreszcie, otworzenie stałego teatru w Warszawie z inicjatywy króla, miłośnika i proktora sztuki dramatycznej.

Data otworzenia pierwszego teatru, rok 1765, jest też z tego powodu w dziejach dramaturgii polskiej chwilą epokową, bo dopokąd stałej sceny naród jakiś nie ma, o postępującej i doskonalącej się coraz sztuce dramatycznej marzyć mu nie wolno.

A choć bywały już teatry nieraz i w naszej ojczyźnie, żeby jeno wspomnieć obce trupy dworskie za Wazów i Sasów, — jakkolwiek szkoły polskie dość często dawały z okazji rozmaitych uroczystości dorocznych albo przygodnych, sceniczne reprezentacje dla swych wychowanków, — lubo wreszcie panowie polscy, jak Radziwiłłowie w Nieświeżu a Czartoryscy w Puławach, utrzymywali własne, stałe sceny w swoich rezydencyach: — działalność jednak tych widowisk, ograniczona na koła wybranych a zatem nielicznych, do rozwoju sztuki dramatycznej w Polsce przyczynić się zgoła nie mogła.

Tem się tłumaczy fakt, że piszących u nas zawodowo, przed powstaniem teatru w Warszawie, w myśl postulatu sztuki nowoczesnej, utwory sceniczne, dramaturgów, zupełnie jeszcze niema, — a ci, co są, piszą po dyletancku dla siebie i swoich, by uroczystość rodzinną uświetnić reprezentacją jakiejś własnej sztuki

na domowej scenie. Posunąć naprzód dzieła dramatycznej reformy, pisarze ci, jak łatwo zrozumieć nie mogli, — stąd też nazwiska takie, jak Franciszka Radziwiłłowa lub Wacław Rzewuski, budzą dla nas, po latach, interes historyczno-kulturalny raczej, niżli literacki.

Ale scena stała i przeznaczona dla mas jak najszerszych, ta mogła i powinna była, bo w tym celu stworzoną została, rozwój dramatu polskiego przyspieszyć i zamiłowanie do sztuki ojczystej w masach rozpowszechnić, — że rolę takiej nauczycielki spełniła bądź co bądź, wkrótce, — w tem jej kulturalna, historyczna i artystyczna zasługa, — w tem najwალniejszy powód, że dopiero z jej wejściem w życie o świadomej swych celów i nieprzerwanej w ciągu lat twórczości dramatycznej mówić naprawdę możemy.

Koleje jednak, jakie młoda instytucja u zarania dni swoich przechodzić była zmuszona, frymarki spekulantów, jakich na samym progu swojej działalności wciąż była przedmiotem i konkurencja z obcymi, Francuzami, Włochami, albo też Niemcami, pociągającymi urokiem egzotyczności, żądną niezwykłych wrażeń i hołdującą bezkrytycznie modzie, ówczesną stolicę polską, musiały, mimo zabiegów króla Stanisława i starań takiego protektora sztuki, jakim był niezaprzeczenie Generał ziem podolskich, odbić się bardzo krytycznie na dramatycznej produkcji narodu, który w okresie niemowlęstwa swego na tem polu, potrzebował właśnie jak najpomyślniejszych warunków rozwoju i światłej dyrektywy, aby się

raz w sobie skupić i z gorączkowym szukaniem a w ślad za tem, z metodą naśladownictw zerwać.

Chociaż zatem gorliwa i niezmordowana działalność Bogusławskiego, rozciągająca się zarówno na samą Warszawę, jak następnie w krwawej tułaczce na Wilno, Lwów i inne, większe miasta polskie, budzić musi rzetelny i szczery szacunek dla obywatela-artysty, przecież jednak repertoar pierwszej sceny polskiej, na który składały się przeważnie tylko Cnotliwe prostoty i Nędze uszczęśliwione, jaskrawo rzuca się w oczy swem bezprzykładnem ubóstwem.

Wyeliminowawszy zeń prawdziwie wartościowe prace Zabłockiego a z pewnemi zastrzeżeniami i Bogusławskiego, wreszcie te zasłużone, lubo bardzo nieliczne i zbyt nieudolne tłumaczenia dzieł Moliera albo Beaumarchais'go, jakie w spisie sztuk „na theatrum króla Jegomości“ były reprezentowane, — w repertoarze narodowej sceny nie znajdziemy, mimo jego szlachetną dążność, żadną miarą nic, coby na wiek dziewiętnasty mogło trwałą stać się spuścizną i kamieniem węgielnym pod oryginalną produkcję polską.

Nie mogły więc, rzecz prosta, przy najlepszych swych chęciach grane na deskach naszej sceny prace, posuwać rażno naprzód kultury estetycznej w społeczeństwie, w którym obok wykwintnym obdarzonych smakiem artystów, do jakich bez zastrzeżeń należy zaliczyć autora *Myszeidy*, *Zofiówki* czy *Sarmatyizmu*, — żyły całe legiony „mościpanów-braci“ artystycznymi aspiracyami i literackimi upodobaniami nie

wznoszące się zgoła ponad Nowe Ateny księdza Benedykta.

Nie tragedia też i nie dramat rozwinęły się w Polsce na schyłku ośmnastego stulecia, — bo trudno, mimo przykładania najpobłażliwszej w ich ocenie miary, uważać za takie Gwidona Naruszewicza, niedołęznego nad wyraz Zygmunta Augusta Wybickiego, dyalogowane sielanki Książnina albo Judytę głośnego w swoim czasie sielankopisarza i „poety serca“, — ale komedia jedynie, dojrzała już i dowcipna, w której obok bardzo płynnego i literackiego języka, obok prawdziwej, szczerze polskiej werwy, humoru i obserwacji głębszej, bo bystrzejszej, po raz pierwszy powstają „typy“ i artystyczne „kreacje“.

Mowa tu, naturalnie, o „komedii charakterów i typów“ Franciszka Zabłockiego, o Zabobonniku, Sarmatyźmie i najznakomitszym z tej trójcy Fircyku w zalotach, —

— sumarycznie wszakże rzecz biorąc, (gdy w dodatku i te ostatnie są tylko przeróbką), mało to niesłychanie na przeciąg lat dziesiątek:

— a tak niewzruszalnym staje się pewnikiem zdanie przywiedzione na wstępie, że dopiero wiek dziewiętnasty uzupełnił brak tak dotkliwy w naszym piśmiennictwie i że dopiero z jego wejściem w życie o poezji dramatycznej w Polsce na seryo mówić nam wolno.

Jakby chodziło o możliwie najspieszniejsze odrobienie tego, czego Polska ubiegłych wieków całkiem zaniedbała, jakby dla zrehabilitowania się we własnych i cudzych oczach za upokarzająco małą wytwórczość sceniczną z czasów niezawisłego bytu politycznego, — rzucono się na progu nowego stulecia z nadzwyczajną energią ku dramatycznej poezji rodzimej, ku tragedji zwłaszcza, bo tej poza słabemi próbami Hetmana Brodatego, Karpińskiego czy Wybickiego, w poważnem słowa znaczeniu nie było.

Mieć dramat za jakąbądź cenę, wypełnić tak ważną lukę w piśmiennictwie polkiem: — oto gorączkowe dążenie porozbiorowej Polski, której jedynie już dziś ta dziedzina, pole literacko-kulturne, do uprawiania została.

Gotowych wzorów dostarczył stolicy naszej imponujący jej zawsze, gwarny gród nadsekwański a poprzednicy dramaturgów naszych z tego czasu, od Andrzeja i Stanisława Morsztynów począwszy, nawiązali już w tym kierunku pewne obowiązujące na przyszłość stosunki.

Że Francya tak dominujący w tej mierze wpływ na nas wywarła, nie można się bynajmniej, historycznie śledząc przyczyny tej ewolucyi, ni dziwić, ni gorszyć, do kraju elegancyi, mody i zepsucia ciągnął nas dawny nałóg przedewszystkiem i granicząca ze śmiesznością nieraz admiracya wszystkiego, co paryskie, — specjalnie zaś w odniesieniu do sceny, stanęły po stronie pseudo-

klasycznej poezji francuskiej wcale poważne i tłumaczące rzecz względy.

Można i trzeba żałować, że nieśmiałe lecz z uwagi na swoją epokę bardzo znamienne i pocieszające głosy Rzewuskich, Theatralskich oraz Czartoryskich, dające szczery i gorący wyraz, jeśli jeszcze nie uwielbieniu, to bezwarunkowemu uznaniu i zrozumieniu „samotnego geniusza, który wskrósć całą naturę przemierzył...” — jak pod wpływem braci Schleglów nazwie niebawem Szekspira Brodziński, — przeszły bez echa i wpływu na ogół, —

— można i trzeba ubolewać nad tem, że scena lwowska nie wprost z oryginału ale z marnej przeróbki Shrödera ukazywała publiczności swojej nieśmiertelnego Hamleta, — a wileńska nawet nie z drugiej lecz z trzeciej dopiero ręki, z Laplace'a i Ducisa szekspirowskiego Króla Leara, — przyczem z obu uleciał genialny duch ich i artyzm, —

nie można jednak nie uznać dobrej woli i smaku dramaturgów naszych w ich zwróceniu się ku wzorom Francyi i ideałom jej scenicznych twórców, jeżeli się sumiennie, zatem bez uprzedzeń rozpatrzy we faktycznym stanie rzeczy.

Teatr warszawski za panowania pruskiego, po roku 1796 zarzucił bezpowrotnie dawne sztuki polskie, a gdy nowych nikt mu nie dostarczał, zaczął się posługiwać tłumaczeniami dzieł obcych i naturalnie rzucił się przedewszystkiem na współczesną sobie francuską i niemiecką twórczość dramatyczną. Ale o przekład arcydzieł

germańskich nikt się pokusić i nie śmiał i nie chciał, nie czując jeszcze ich wzniosłych, powoli przewrotu w europejskiej sztuce dokonywujących piękności, przyswajano też z repertoaru niemieckiego narodowej scenie same poślednie i mierne utwory, pełne awantur i niekonsekwencyi, na tani efekt i łatwą sensacyję obliczone „dramy“ rozwichrzonej romantyki niemieckiej, że zaś współczesna tragika francuska przemawiała do wykształconej warstwy naszego narodu wysokiem, bądź co bądź, pojmowaniem ideałów, — bohaterstwa, honoru i patriotyzmu, — a obok tego porywała patosem swym i retoryką, tak wielce dla życia polskiego znamionną, więc też upodobania wybrańszej części narodu stanowczo i na długo przechyliły się na jej stronę.

Mniej wybredni i mniej ukształceni ciążyli jeszcze czas jakiś ku pełnym nadzwyczajności utworom niemieckich romantyków minorum gentium, niemniej wszakże losy tragedyi polskiej były już zdecydowane, bo i wstępujący w szranki dramatycy polscy poszli drogą pseudo-klasycyzmu.

I szły w świat zimne i sztywne tragedye historyczne, zachowujące z bierną uległością pięć aktów i trzy jedności, o tendencyi moralnej, religijnej, społecznej lub politycznej, (bo jakaś być zawsze musiała), wymuskane elaboraty o charakterze raczej narracyjnym, niżli dramatycznym, namiętnościach bez namiętności, i grozie bez siły grozy, pełne niekonsekwencyi w prowadzeniu akcji a zwłaszcza i przedewszystkiem w rozwiązaniu sztuki, bogate za to w nieszczerze, sztuczne i przesadne pathos

a nieznośne w swej konwencyonalności polskich rzekomo postaci i wzniosłych jakoby tyrad, podobne jeden do drugiego, pomimo różnicy w treści, jak dwie krople wody, przez szablonowość słabej kompozycji i stereotypowość suchych dyalogów, — a wyczelowane w swym wierszu i wytoczone na zimno i pedantycznie, aż do nużącej nad wyraz i miarę, zabójczej jednostajności.

Kto poznał jedną z tych prac, zna niemal wszystkie współczesne, tak są bezosobiste, tak małe piętno swej indywidualności położył na każdej autor.

A w miarę upływu czasu, autorytet Racine'a, Corneille'a i Voltaire'a tak się wzmógł i spotęźniał, kodyfikacja formalnych przepisów, skonstruowana przez ówczesnych Arystarchów ruchu: — Laharpa, Boileau i najniebezpieczniejszego z nich ale względnie najpoetyczniejszego autora Henry'ady, — urosła do znaczenia tak bezwarunkowych kanonów, że się nikt z pod tego obowiązującego bez zastrzeżeń prawa pod grozą anathema wyłamać nie ważył.

Za dowód starczy zbyt wymowny fakt, że nawet ci dramatycy, którzy, jak pociągnięty urokiem arcydzieł Szekspira i Schillera, Węzyk, rwali się ku nim wszystką mocą duszy i nosili ze śmiałą, wprost zuchwałą myślą zmodernizowania na wzór romantyków germańskich zbyt zaściankowych i skostniałych w swojej wyłączności pojęć o istocie dramatycznej sztuki, — nie odważyli się przecież targnąć na uświęconą tradycją powagę pseudo-klasycyzmu i choć jako teoretycy szeroko rozwodzili się nieraz nad potrzebą reformy w tej mierze, — jako

autorzy tragedyi dostrajali się bez cienia inicjatywy twórczej do panującej powszechnie teorii.

Z zapałem, jak każdy zapał, ślepym i bezkrytycznym, przyjęta przez Dmochowskich i Osińskich poetyka Francyi, zasklepiła nas na całe lata w ciasnej formalistyce pseudoklasycznej, przez całą ćwierć tego wieku tylko w jej duchu tworzone tragedye wydaje twórczość polska.

A jak tragedye francuskie, mimo tematów starożytnych i osób z klasycznego reprodukowanych świata, są w każdym wyrazie i geście *par excellence* francuskie, nie rzymskie, tak naśladujące je ślepo i niewolniczo przejawy tragiki polskiej w okresie pseudo-klasycyzmu, są bardzo poprawnymi, z punktu widzenia teorii francuskiej, elaboratami scenicznymi na zadany temat, — o przynależności ich autorów do świata polskiego nie świadczy żaden rys jednak, któryby naturę polską wprowadzał na widownięć w całej pełni i w całym bogactwie jej wyłącznych cech charakterystycznych.

Ogólna natura ludzka, nie typ specyficznie polski, mara bez krwi i ciała, automat do wygłaszania patetycznych i tendencyjnych tyrad i traktatów, raz moralnych to znów politycznych, nie zaś psychologicznie pogłębiony charakter człowieka nowożytnego: — oto, z jakich postaci składa się tragedia nasza z pierwszej ćwierci najbujniejszego ze wszystkich w historii literatury ojczystej stulecia dziewiętnastego.

Ideałem i niedoścignionym wzorem do naśladowania był tu stale zarówno wielkoduszny autor „Cyda“, pie-

wca i gloryfikator szlachetnego heroizmu dusz, malarz majestatycznych w dumie swej i powadze starców, cnotliwych niewiast i pełnej patryotycznych uniesień młodzieży, w której życiu uczucie miłości, nieprzebrana po dzień dzisiejszy i niewyczerpana skarbnica konfliktów tragicznych jest jeno przemijającą i z góry na lekceważenie skazaną słabością, ornamentem jedynie bohater-skich istnień, — jak niemniej znakomity twórca „Atalii“ i „Ester“, pierwszy naprawdę tragik w szeregach pseudoklasyków francuskich o wysokiem zacięciu i nerwie scenicznym tudzież szczerze dramatycznej inwencji, którego analityczna, wyjątkowa w tej epoce i w tem otoczeniu zdolność poetycka, uderza na bezbarwnem tle pseudoklasycyzmu francuskiego dziełami pełnemi zawikłań prawdziwie już dramatycznych, nieraz wprost odrażających grozą swą i ohydą, ale szczerze i w całym tego wyrazu znaczeniu tragicznych, — a przez to właśnie najbliższych arcydzieł Sofoklesa i Eurypidesa.

Ze jednak u tych nawet wyjątkowych twórców psychologia wprowadzanych w utwory tragiczne postaci cierpi na stałą i nieuleczalną anemię i razi swą płytkością względnie naiwnością, — więc dziwić się niepodobna, że i u ich wielbicieli oraz naśladowców francuskich czy polskich ten punkt tragicznej poezji stanowi najsłabszą stronę i że utwory nasze z tej epoki psychologicznego pogłębienia przedstawianych postaci i historycznych momentów zupełnie są pozbawione.

Szczególną predylekcyę do tematów z ojczyстых dziejów zaczerpniętych, wytlómaczyć łatwo nagłym upa-

dkiem i stratą ojczyzny: — tragicy nasi z głęboką, podbijającą i godną najwyższego szacunku boleścią sięgali myślą w minione dawno dni chwały, by od dni klęsk wzrok odwrócić i „pokrzepienie serc” znaleźć.

I tu jednakże musi badacza uderzyć brak twórczej samodzielności w wyborze rzeczywiście dramatycznych motywów dziejowych, tragicy nasi bowiem, idąc drogą, utworowaną przez jednego lub dwu poprzedników, powtarzają te same tematy, biorą te same epoki z historii narodowej i te same dziejowe postaci, rzadko szczęśliwie umiając je wykorzystać dla swoich artystyczno-politycznych celów i ogólniejszy pracami swojemi obudzić interes. Odłogiem leżą całe lat dziesiątki chwile tak bardzo w grozie swej dramatyczne, jak panowanie ostatniego z Wazów, — nie dotyka się zgoła niesłychanie bogatej galeryi tragicznych postaci dziejowych w guście Masławów albo Borkowiców, Napierskich, Radziejowskich względnie Lubomirskich, za to roi się w ubogiej dramaturgii polskiej od samych Bolesławów Śmiałych, Barbar i Żółkiewskich albo Warnieńczyków, bo dopiero druga ćwierć stulecia i druga jego połowa sięgnęły do Zborowskich i do Zebrzydowskich.

Bolesław Śmiały: — to w epoce pseudo-klasycznej i Wężyk i Hoffmann, za nimi zaś cały legion: Korzeniowski, Bełcikowski i t. d. i t. d. aż do dni ostatnich; — Barbara Radziwiłłówna: — to od niefortunnej próby Wybickiego, długi szereg tragedyi i twórców, by na wspomnieniu Wężyka tudzież Felińskiego a wkrótce po nich Magnuszewskiego albo też Odyńca jeno się

ograniczyć; — a tak historyczny nasz dramat, opracowując jedne i te same momenty dziejowe, tembardziej przez powtarzanie problemów tragicznych musiał wpływać na zatarcie się różnicy między jednym dziełem a drugim, jaka wobec zbyt jednostajnych i stereotypowych opracowań tychże, z samej bodaj różnaitości motywów dziejowych mogła się była rozwinąć.

Ani tragiczna ani komedyowa produkcja polska z doby pseudo-klasycznej nie zaznaczyła się przeto niczem wybitniejszym i gdyby nie jedno, jedyne nazwisko, gdyby nie jeden, jedyny tragiczny utwór tych czasów, — twórczość polska na polu scenicznym przedstawiałaby się nad wyraz ubogo i smutnie.

Nazwisko jednak: Alojzy Feliński i jego dzieło tragiczne: Barbara Radziwiłłówna — ratują honor dramatycznej wytwórczości omawianego okresu a jakkolwiek rozumie się samo przez się, że od początkowych, pierwszych kroków twórczych nie podobna oczekiwać czegoś skończonego i doskonałego, sprawiedliwość każe przecież uznać, że tragedia Felińskiego jest już widocznem zmęźnieniem tragicznej Muzy polskiej, a jako najkonsekwentniejszy w prowadzeniu akcji i przewodniej myśli, jako najbardziej szarmonizowany w szczegółach a tem samem najbliższy poetyckich pierwowzorów Francji, przejaw rodzimej dramaturgii polskiej, uchodził i uchodzi słusznie do tej chwili za wzorowy typ tragedyi pseudoklasycznej, uderzający swoją dojrzałością na beźmiernie ubogim w dramat gruncie polskim.

A kiedy tak na polu dramaturgii polskiej zimny

i krasomowczy pseudo-klasycyzm panował bez podziału i współzawodników i entuzjazmował krytyków i masy najznakomitszym płodem swym, Barbarą, — na Zachodzie dokonywał się olbrzymi przewrót w pojęciach o pięknie, sztuce i poezyi, reakcja więzionego i na pasku konwencyonalności prowadzonego uczucia, tryumf lekceważonej dotychczas i nagle z pęt wyzwolonej wyobraźni twórczej, by niebawem obalić istniejący porządek rzeczy i przejść jak burza, z żywiołową siłą po znienawidzonej, wyśmianej poetyce oficjalnej, przez francuskich Arystarchów pseudo-klasycznej teorii, całemu niemal narzuconej światu.

Pożądanie czystego piękna helleńskiego, nie skażonego i wynaturzonego przez retoryczną tragicę francuską, pragnienie wprowadzenia ożywczych tchnień ludowych, każdemu narodowi właściwych i charakter samodzielności i indywidualizmu, wolnego od płytkiego naśladownictwa, zdolnych każdej poszczególnej, plemiennej poezyi zapewnić, chęć wcielenia pierwiastka prawdy, szczerości i życia w skostniałe formy poezyi rzekomo klasycznej a w gruncie rzeczy niezmiernie dalekiej od starogreckiej prostoty i wdzięku, coraz powszechniej nakoniec wybijające się w literaturze na czoło innych postulatów sztuki: — prawo uczucia w całej jego mocy i prawo „imaginacyi“, bez krępujących je dotychczas więzów, obok umiłowania średniowiecznych wierzeń, pieśni, instytucyi: — oto przyczyny nagłej zmiany pojęć, powody wystąpienia do stanowczej walki z estetycznym kodeksem pseudo-klasycyzmu, zakończonej ry-

chłem zwycięstwem „romantyków“ i ich ideałów nad „panowaniem rozsądku, dowcipu oraz formalności“, — jak Wiek Oświecenia w literaturze francuskiej tak trafnie nazwał Mickiewicz.

Gdy przytem nowe hasła jęły padać z arcydzieł geniuszów, jakich ludzkość nie miała już dawno a dotychczasowy stan rzeczy groził poezyi śmiercią z wycieńczenia, gdy przeobrażenia społeczne i polityczne tudzież naukowe zdobycze domagały się coraz głośniej i bardziej stanowczo reformy i postępu w sferze sztuki czystej a lubo narodowej, indywidualnej, całą ludzkość za przedmiot miłości mającej, — nie będziemy się dziwili zgoła, że nowo-powstały, literacki ruch coraz liczniejszych znajdował wyznawców i coraz szersze pozyskiwał koła, że coraz bardziej owładał ludami w imię swych wolnościowych, dalekich od formalnej kazuistyki, haseł, i że wkrótce zalał powodzią swych, odradzających całą ludzkość prądów, utartą i szkolarską, na czczej formalistyce, ceremonialnej, dworackiej „grzeczności“ i ignorancyi wszelkiej psychologii opartą doktrynę pseudo-klasyczną.

Do Polski od lat już całych napływały echa tych zmian, znajdując w niektórych twórcach tem większy posłuch i tem szersze budząc w nich zajęcie, że na dnie dusz Wężyków oraz Niemcewiczów, leżała podatna gleba pod zasiew nowych idei, swobodzie twórczej i samodzielności plemiennej narodów więcej praw dających, a wszakże już uprzednio nieliczni ale wybrani umieli u nas odczuć genialność muzy szekspirowskiej,

żeby jeno Hetmana Brodatego, Generała ziem polskich i samego króla wymienić.

Ogół jednakże, „szeroka publiczność“, co więcej: — twórcy i krytycy nasi, „arbitrowie, teoretycy, mistrze“, cała „hierarchia warszawskich recenzentów“, dla której formalistyczna kazuistyka Boileau'a i Laharpe'a stanowiła alfę i omegę w ocenie wszelkiej twórczości duchowej, zasklepili się tak dalece w ciasnej rutynie pseudo-klasycznej, że poza tymi nielicznymi dyletantami-twórcami, nikt w Polsce na seryo przez długi czas nie brał wielkości Szekspirów, Schillerów czy Goethych, że ani Lessing, ni Herder, ni zasłużeni dla sprawy Schległowie nie znaleźli tak rychło zwolenników i propagatorów swych owocnych haseł, aż do owego czasu, gdy kapitulacja uwielbianej Francji otworzyła nareszcie i bramy Paryża wielkiemu Odrodzeniu poezyi narodów.

Odstępowała nas od romantyzmu zbyt w naszych oczach namiętna propaganda ruchu, krańcowe uwielbienie oraz fanatyczność, z jaką walczano w imię nowych haseł, pogarda dla dotychczasowych reguł i formułek a utwierdzała nas w tem stanowisku oporno-nieufnem zimny głos oficjalnej krytyki warszawskiej, w sędziowską togę wciąż się drapującej i ferującej na prawo i lewo odsadzające od prawa obywatelstwa romantyzm wyroki.

Odpychał nas od Zachodu wrodzony ogółowi bierny konserwatyzm i, jak zawsze, niechęć do nowości, wytrącającej nas z wygodnej drzemki, nie dającej zaś żadnych konkretnych, jasno określonych praw, ni formali-

styką urzędową się nie obwarowywującej, lecz owszem idealnie wolnej i wolność osobistą każdej twórczej jednostce zupełnie gwarantującej, by ją uszanować, uznać i uprawnić.

Przyzwyczajona do kategoriycznych imperatywów francuskich opinia polska, widząca w każdym utworze przedewszystkiem „sztukę“, którą to nazwą określano formalną stronę poezyi, nie mogła sympatyzować z uzurpatorem zachodnim, który z takim lekceważeniem odnosił się do uwielbianego przez nas pierwowzoru a który niósł ból pracźlowieczy, dyszał od namiętności, kochał, szalał, wrzał i kosztem uświęconej, chłodnej retoryki i konwencyonalności współczesnej podnosił do znaczenia nieodzownego w poezyi warunku, psychologię kreślonych w dramacie postaci.

Grała tu może nie najmniejszą rolę i wrodzona nam niechęć do Niemców a kult Paryża i nierozumienie zarówno średniowiecza, jak poezyi wschodniej i tego, co w klasycyzmie helleńskim, naprawdę było najwyższe, — grała tu może rolę i obawa przed zbytnim indywidualizmem jednostek, bośmy nauczeni najboleśniejsem z doświadczeń za nieszanowanie praw i samowolę, dziwnie ciasno pojmowali „prawo“ w sztuce czystej i bali się obrażenia kanonów dobrowolnie sobie narzuconych, patrząc na wzmagający się ruch romantyczny z lękiem przed nowem m e m e n t o.

Zbyt mało też wyrobieni byliśmy artystycznie, by odczuć i zrozumieć zaraz arcydzieła genialnych twórców swego czasu, tak jaskrawo „nieprawidłowych“, z uczucia

jeno zrodzonych i z lotnej wyobraźni twórczej, cóż dopiero mistycznych Tiecków albo Novalisów, a nie umiając myślom ich nadążyć, problemów ich rozwiązać, ni uczuciom sprostać, tem samem zaś wielkością ich się przejąć i sercem ukochać, z pogardliwym wzruszeniem ramion przyjmowaliśmy do wiadomości za pośrednictwem Pamiętników warszawskich czy lwowskich, Dmochowskich czy też Golańskich echa postronnych teoryi, niedowierzając im jeszcze, a bojąc się już ich postępu.

Dmochowski, Osiński czy Euzebiusz Słowacki oddawali wprawdzie sprawiedliwość geniuszowi Szekspira ale zestawiając go przecież z Rasysem, stwierdzali wyższość tego ostatniego nad nierozumianym przez się Angielczykiem, inni, zaciętsi, jak Koźmian, nie chcieli nawet słyszeć o czemś tak mało uchwytnem, jak płody romantyczności, — a tak dopiero geniusz Mickiewicza zdołał nas wyrwać nareszcie z apatyi i wzrok nasz w stronę arcydzieł obrócić.

Po takiej ewolucyi i na takim tle królewska, dramatyczna twórczość Słowackiego.

Z wystąpieniem piewcy nieszczęsnych Wenedów zyskuje narodowa poezya polska tragedye, godną postron-

nych, z pierwszym krokiem twórcy *Kordyana* zjawia się oczekiwany geniusz tragiczny, jedyny po dzień dzisiejszy.

Ze Słowackim wchodzimy dopiero w fazę rzeczywistego odrodzenia narodowej produkcji tragicznej a prawdziwej rzecz określając, w stadium urzeczywistnienia długo zrealizować się u nas nie dającej myśli o dramacie i kto zna dzieje teatru polskiego po bieżącą dobę, doskonale zda sobie sprawę z doniosłości misji Słowackiego, któremu scena polska tak dalece zawdzięcza wszystko, że, gdyby nie magnacka spuścizna po tym jedynym geniuszu dramatycznym w Polsce, repertuar nasz do tej chwili przedstawiałby się bardzo jałowo i smutnie.

Sam początek twórczości scenicznej autora *Mazepy* zapowiadał talent niezwykły.

Wprawdzie obie tragedye młodzieńcze, jedna „obrazem historycznym“ a druga „historycznym dramatem“ nazwane, historycznemi właśnie były najmniej, bo ani potężnych starć obydwu wieków i środowisk, zwłaszcza zaś kolizyi na tle religijnem, ani obrazu specyficznego malującego obie dane ery i obydwa kraje, nie wyprowadzały na jaśnię, przed oczy czytelnika czy widza, — a młodzieńcza naiwność w prowadzeniu akcji, zapowiadała już wcale wyraźnie, obok naturalnej niepo-

radności technicznej w pierwszych próbach twórczych, ową, tyle znamioną przez całe życie poety, niechęć do „rzeczywistości“, wobec której „opadają skrzydła“, przecież na nich już znać lwi pazur urodzonego tragika z powołania i nerw dramatyczny w najszlachetniejszym rodzaju i stylu, jak niemniej niedoścignionego wirtuoza wiersza i mistrza natchnionego, błyszczącego słowa.

Pierwsze z dzieł wymienionych, — *M i n d o w e*, — pod przemożnym wpływem Byrona skreślone i niejako waryacya na opracowany już w *Arabie* temat, — to rzecz niedomagająca jeszcze pod wielu względami a pod tym przedewszystkiem, że utwór mogący istotnie urość do rozmiarów „historycznej“, potężnej tragedyi, gdyby był miał za przedmiot przeprowadzenie starcia między pogańskim kultem starej Litwy, a napływową religią chrześcijańską, nienawistną ręką wroga jej niesioną, — zmałał w wykonaniu poety, który go problemu tak głębokiego a par excellence dramatycznego, niestety, pozbawił, skutkiem czego *Mindowe* to nie człowiek czynu i idei, zdolny budzić sympatyę lub dramatyczną grozę czy współczucie ale aliaz byronowskiego marzycielstwa i demoniczności w najpośledniejszym gatunku, egoizmu i całkiem pospolitych, zbrodniczych instynktów bez celu i bez korzyści.

.....„Mamże wyznać, że *Mindowe* jest najmłodszym z płodów w dwóch tomach zawartych.....

.....(i) powinien był wiecznie w tece dziecinnej pozostać, — (i) wiecznieby w niej pozostał, gdyby nie

dziecinne moje przywiązanie do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego“.....,

— pisze dwudziesto-letni poeta na wstępie.

I istotnie — z powodów wyż wymienionych — sztuka chybia celu i wrażenia a samokrytyka twórcy przynosi zaszczyt poecie, wymownie bowiem świadczy, że zdawał sobie sprawę z słabych stron swego utworu.

Temi słabemi stronami był nadmiar nieprawdopodobieństw w dość dowolnie kombinowanej i luźnie prowadzonej akcji, wtrącanie w wątek sztuki scen nie pospajanych ze sobą, czasami nawet akcji wręcz przeciwnych, przemilczenie podkreślonego już wyżej, a jedyne w danych warunkach motywu dramatycznego, który mógł być uczynić tragedję i historyczną prawdziwie i doskonale w szczegółach scharmonizowaną, zbyt jaskrawe przejście się twórcą *Don Juana* a w tak postawionej tezie, w tej epoce zgoła nie mające racji egzystencji i naśladowanie, aż nazbyt miejscami wyraźne trzech genialnych arcydzieł Szekspira: *Hamleta*, *Ryszarda III*, nakoniec *Makbeta*, — omdłałość pewna, jaka pióro poety ogarniać się zdaje, w miarę pospiesznego tworzenia tej pracy, skutkiem czego wybornie poczęta kreacya *Aldony*, w dalszych aktach dramatu traci na wyrazistości i swojej oryginalnej prawdziwie wyzbywa się fizyognomii, by się w dość bladą kopię szekspirowskiej *Ofelii* rozpułnąć, — brak konsekwencji twórczej w plastycznym przedstawieniu charakteru, zakrawającego na wstępie tragedyi na indywidualium hartowne i męskie, t. j. postaci *Trojnata*, — nagromadzenie

nareszcie całego steku całkiem bezcelowych a przynajmniej bez-ideowych zbrodni bohatera dla samej zbrodni jedynie pełnionych.

A jednak już w tej pierwszej próbie, jak zaznaczyliśmy wyżej, znać było talent wielki i niezwykły i siłę twórczą poety, który w dwudziestym roku życia zdobywał się bądź co bądź na imponujące rozmiarami dzieło i najtrudniejszą formę poetycką, nie mając godnych siebie w Polsce poprzedników i modernizował sztywne tragos polskie w myśl romantycznych haseł i poglądów, pierwszy zrywał w praktyce i czynie z bezduszną szkołą pseudo-klasyczną, a skreślił kilka tak wybornych scen, jak męski zgon Lutuwera lub groźny moment przekleństwa Rognedy, z zastanawiającą intuicją twórczą przez rozpoczynającego dopiero zawód swój tragika odczutej i przedstawionej.

Niektóre chwile aktu, do którego poeta czuł tak „dziecinne“, — jak je sam zowie, „przywiązanie“, n. p. scena Heidenricha z Mindowem na wstępie, z twardem i bohaterskiem:

...„Pójdę się jutro modlić w krzyżackim kościele,
Pić będę wasze wino w święconym kielichu,
Moje gmachy klasztornym kobiercem zaścielę,
I zmówię pierwszy pacierz, gdy Mistrz Wielki skona...“

to, jak zresztą na każdej karcie tego dzieła, forma wiersza niedościgniona i zdumiewająca na tle bezbarwnej „poprawności“ tragiczków uprzednich i dramatyczność, jedna z najsilniejszych, której za wtór służyć może jedynie nienawistny wykrzyk Rymwidowy:

.....„Napróżno się trudzi,
 Kto naszych szczerze chce zgodzić z Krzyżaki,
 Bo czy to z kniaziów, czyli z prostych ludzi,
 Na Litwie całej nie znajdzie się taki,
 Coby ich nie znał chytrości i dумы,
 Nie stronił od nich, jak od krymskiej dżумы,
 Coby nie wołał stokroć od ich broni
 Raczej śmierć w polu, niżli pomoc zyskać,
 Raczej żelazo rozpalone w dłoni,
 Niżli krzyżacką prawicę uściskać“.

Szkoda, że twórca *Minowego* nie poszedł tą drogą i nie oparł swej pięknej pod względem formalnym tragedii o tak wybitnie dramatyczne tło, o sferę starć i kolizji religijno-plemiennych, dla których tyle tu pola i materiału!...

Jeszcze więcej piękności natury formalnej i mistrzowską już bez zastrzeżeń psychologię niektórych postaci, mieści w sobie drugie dzieło poety-młodzieńca, historia serca Maryi Stuart.

Pisany pod wpływem Walter-Scotta i Alfieriego, z reminiscencyami z Byrona oraz Szekspira i bardzo dalekiem powinowactwem z Schillerowskim, rzewnem arcydziełem, jest dramat ten jednakże tak oryginalnie pojęty i przedstawiony, że stanowi niezaprzeczenie krok doniosłego bardzo w dramaturgii polskiej znaczenia.

Przedewszystkiem postać bohaterki.

O ileż, dramatycznie rzecz biorąc, przewyższa he_

roina naszego poety śliczną, lecz nadto bierną Maryę Schillera!

Genialny tragiczek niemiecki skupił wszystką akcję swego dzieła około nieszczęśliwej, pozbawionej wszelkich praw królowej, ofiary dynastycznych i religijnych kolizyj i z nich powstałych zawikłań, Słowacki poświęcił swą pracę na skreślenie obrazu serca kobiecego, bez względu na dostojne stanowisko swojej bohaterki, bez względu na tło polityczne i wyznaniowe starcia i tak pojętą postać swojej Maryi wcielił w kształt dramatyczny poprostu mistrzowsko.

„Historyczność“ tragedji bezsprzecznie na tem cierpi, jak traci przez pominięcie tak ważnego w dziejach ówczesnej Szkocji motywu na interesie oraz wadze akcja, ale za to niepowседневnie piękności natury psychologicznej okupują, w znacznej mierze niedobory sztuki, wpływające ze zlekceważenia tła historycznego.

Jakąż płomienną zaiste fantazyą odznaczać się musiał poeta, jaką intuicyą twórczą, jaką łatwością tworzenia od młodości być obdarzonym, jeśli potrafił, dwadzieścia lat licząc, w ciągu jednego zaledwie miesiąca, napisać rzecz, niewątpliwie dużo wad mającą, ale jako studjum kobiecego serca najświetniejszą ze wszystkich, jakie w Polsce na scenie do dni jego żyły, a pod względem wiersza i blasku najcudniejszego wystówienia osób, równie bezprzykładną i jedną z „przedziwności“ języka polskiego, której także dotychczasowa twórczość narodowa zgoła gruntu nie przygotowała.

Ta skomplikowana natura niewieścia i pełna najja-

skrawszych przeciwieństw psyche ludzka, na którą złożyły się tak różnorodne wady i skłonności, obok poetyckiego czaru, urody i wdzięku, — w której obok dostrzętnego nieomal zaniku moralnego zmysłu, luźnych w myśl francuskiego wychowania zasad, słabej a raczej żadnej prawie woli, tkwi katolicka, szczerza prawowierność, — w której drażniąca purytański fanatyzm, iście kobieca i nie bez uroku zalotność, doskonale godzi się z brakiem nie już królewskiej ale zgoła niewieściej godności, w której determinacja w krwawym, niecnym czynie idzie w parze z obłudą wzroku i obawą słów, — w której wybuchowa i płomienna miłość czy namiętność z nagłą przechodzi w odrazę i wstręt, a z samego dna serca płynąca nienawiść do męża ustępuje w chwili czarnej zbrodni miejsca, przemijającemu, co prawda, lecz niemniej prawdziwemu i wcale żywemu wzruszeniu oraz litości: — to arcydzieło studjum psychologicznego, wyborny wyraz maestryi Słowackiego w kreśleniu natur rzadkich, dusz złożonych, gorących uczuć, jaskrawych kontrastów, co w nim do końca życia pozostanie.

A i charakterystyka niektórych osób podrzędnych odznacza się taką samą w szczegółach precyzyą.

Jeśli marzyciel byroniczny, Botwel, nie zadowala zupełnie w utworze swą niejasnością i tajemniczością, której nie mogąc przeniknąć ni zgłębić, gotowiliśmy w nim jeno widzieć pospolitego złoczyńcę i awanturnika, jeśli Darnley przez swą nijakość usuwa się w cień i niepamięć, to natomiast jakże subtelny w rysunku, jak *con amore* traktowany jest ów paź młodociany, jak świetnie

gnięcia twórcy *Wallenroda*, względnie obniżenia jego bohatera, bo sam z rodziny *Kordyanów* wyszedł i przeto szczerze i gorąco współczuł losowi swego bohatera, gdyby zaś chciał był skreślić ideał herosa, nie byłby kładł w przedmowie klątwy na wiek bezpłodny i nie nie rodzący, nie byłby nam pokazywał młodości *Kordyanowej*, zamiast odrazu ukazać nam go w majestacie działacza, poślubionego *Sprawie*, w akcie trzecim. Lecz on i oba pierwsze akty, kosztem spójności dzieła, pozostawił i w trzeciej części bohaterowi swojemu nie pozwolił za broń chwycić męsko, bo mu chodziło o tezę, o zamiar, a tym zamiarem było uwydatnić, że na cześć zasługujący *Konrad Mickiewicza*, że współczucie budzący swoim losem *Kordyan*, (obydwaj ludzie gorącego serca), na kierowników i wodzów narodu nie nadają się w dniach nieszczęścia, w których rycerskiej, chrobrej dłoni trzeba.

Pojedynek to zatem dusz na pojęcia, zasady i pragnienia polskie. Nie pozytywny ideał bohatera chciał *Słowacki* dać w *Kordyanie* lecz konsekwentnie przeprowadzić chciał swego *Konrada* drogą obowiązków polskich, przez różne etapy życia, by pokazać, że taki człowiek, mimo najszlachetniejszy, najczystszy grunt duszy, wskutek złych miazmatów chorego, smutnego wieku i hipertrofii nadmiernej, nieokiełznanej w pędzie swym wyobraźni, mimo późniejszego przerodzenia się *Gustawa* w *Konrada* a *Kordyana*, piętnastoletniego kosmopolity, byronisty i werterysty, w *Kordyana* na szczycie alpejskim, nie może zbawiać, rozkuwać i wskrzeszać, bo

dalszy ciąg wielkiej pracy nie na uczuciu samem ma polegać, ale opierać się na czynie winien. Konrad czy Kordyan tchórzem wprawdzie nie był, (pierwszy i drugi był w więzieniu wroga, Plac Saski także jest dowodem męstwa) a jednak namaszczony a na duszy cierpiący wieszcz w guście obydwu nie dokona przynigdy czynu, jaki za jedynie godny położenia narodowego uważał w owym czasie Słowacki — rewolucjonista.

O taki chodziło problem, to znaczy, że poeta „się nie zaślepiął“, że to dzieło osądził „obcego człowieka rozwagą“...

Chorobliwa naleciałość wieku zostanie w duszy Kordyanów zawsze i w chwili decydującej ubezwładni rozigrane nerwy halucynacjami wybujałej nad wszystko inne wyobraźni, rzucając syna stulecia o ziemię, jak proch.

Analiza to wprost mistrzowska ze stanowiska znajomości duszy, a że scenicznie K o r d y a n niepospolite zawiera piękności, jest to zatem jeden z najlepszych w Polsce dramatów ideowych, szkoda, że zamierzonej pierwotnie ciągłości, t. j. dalszych części tak po królewsku poczętej trylogii, zgoła pozbawionych.

Wprowadzony w naszych czasach dopiero na scenę, okazał się K o r d y a n jednym z najpewniejszych filarów dramatu narodowego, — na czytelnika, dla którego głównie był pisany, oddziaływa paru genialnie skomponowanymi scenami, niepokalaną pięknnością wiersza i języka i tą świetną koncepcją psychologiczną, jaką jest przez ciąg całej sztuki równomiernie postać tytułowa.

Niebywały dotychczas przepych poetyckich piękności, najmelodyjniejsza liryka utworu, pełna szlachetności, siły czy rzewności, człowiek przerastający małość otoczenia a wskutek klątwy, jaką nań wiek jego położył, w bezpłodnym tylko marzeniu dni swoich dożywający, mistrzowska analiza tej skomplikowanej a historycznie tak ciekawej duszy: — oto, co podbija na zawsze czytający ogół i przykuwa do tego niepowszedniego nawet w magnackiej spuściznie po Słowackim dzieła a tyle tu scenicznie szekspirowskich miejsc, tyle mocy uczucia i siły tragizmu, tyle cieniowań w malowaniu duszy syna wieku, obok najlotniejszej i najmniej uchwytnej fantazyi tyle zmysłu nawskroś realnego, że *Kordyan* jest bezsprzecznie pierwszym naszym dramatem psychologicznym i pierwszym arcydziełem trwałej sceniczności.

Melancholia *Kordyana* stawia go wpobok najgenialniejszej koncepcyi tragicznej, obok *Hamleta*, w najbliższem jego sąsiedztwie: jak tamten fantazyuje na temat swej śmierci, jak tamten radby raz zawrzeć, wybuchnąć i zmieść nieprawość z powierzchni swej świętej ziemi, by jak tamten nie módz się zdobyć na wielki gest bohaterski, na czyn będący jedynie udziałem zdrowych, męskich natur.

Więc choć zawoła, by ból w piersi zgłuszyć:

— „Wiercie mi, wiercie ludzie! Jam jest wielki, mocny!...“

— w tej chwili wszędyobecne poczucie niemocy podcina mu rozpowinięte tak mężnie do odlotu skrzydła, by się wylać pełnem rozpaczy:

...„Robak smutku mnie gryzie... tak, że mówiąc z wami
Chciałbym przestać — i usiąść i zalać się łzami“...

Przekleństwem tamtego wieku była istotnie miękkość serc i rąk i tę smutną tragedję dusz porozbiorowych genialnie odtwarza *Kordyan*.

Po problemie tak nowoczesnym, po tragedyi szarpaniny wewnętrznej, realny dramat ludzki z wieku „liberi veto“, Opalińskich i Kozaczyzny.

Bohaterem, — a raczej tytułową postacią junacki Mazepa, bo właściwą parą bohaterską jest dwoje najcudniejszych w poezyi kochanków, „pełnych winy“ strasznej a bezwinnych i trawionych smutkiem, jakiego ogrom leżeć mógł jedynie na dnie dusz dwojga kochanków królewskich w czasie niezwycięzonej Armady hiszpańskiej.

Ta część przerażającej grozą swą tragedyi jest jej najwyższą, najczystsą pięknoscią. Zbrodniczy w swem założeniu a tak jasny, uczciwy, szlachetny i wielkoduszny stosunek pasierba z macochą, z których jedno kryje na dnie duszy uczucie, przepełniające je do siebie wstrętem a drugie bezwiednie zgoła i nieświadomie żyje i tchnie, choć mu ani przez myśl nie przejdzie, by to miała być występna miłość, nie najzyczliwsza przyjaźń i oddanie, odmalowany został z taką subtelnością urodzonego artysty i mistrza, skreślony jakby mimochodem a z taką delikatnością i dyskrecją słowa, że ten pomysł niewątpliwie z Schillera przejęty,

— rzuca wzrok wstecz, w przeszłość swoją, wciele-
nie zbrodni ludzkiej, Balladyna:

.....„Ja o sławę
Nie dbam a wyższa teraz nad sąd ludu,
Będę, czem dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą...”

A zatem?

Pierwotne społeczeństwo nie wierzy w niezłomność zasady, że wszelki czyn późniejszy jest klątwą i mścicielem czynu uprzedniego, że w każdej jednostce ludzkiej tkwi odpowiedzialność za wszystko, co zdołała, — skłonne jest natomiast przypisywać niejedno złe, obrażonej potędze nadziemskiej, „szczęśliwej gwiazdzie“ i fatalizmowi a zamierzeniom człowieczym każe upadać nieraz dla czczego tylko przypadku, wcielonego w dzieło rzeczzone w postaci cudnej trójcy wietrznych istot, których istnienie w świecie pojęć ludu tak pewne jest i niezachwiane.

„Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy“, (Słowacki w tym okresie obcował wiele z Janem z Czarolasu), — można położyć za motto w tem dziele.

Nie. „Natchnienie nie było gorączką“, bo stworzyło tragedję pod względem problemu bardzo jasną i oryginalną, a pod względem formalnym jeden z najdrogocenniejszych klejnotów polskiego słowa.

Ten skombinowany dramat, gdzie pierwiastek historyzoficzny co krok wiąże się z balladowym, czysto fantastycznym, — tragedia ta pełna grozy, przechodząca

wany, prostotę bardziej podbijającą i powagę nastroju wyższą.

Przyczynia się do tego przedewszystkiem osnowa dzieła, tragiczna w każdym swym rysie, podnosi posępny nastrój pesymistyczny ton samego twórcy, w jaki już w *Kordyanie*, w jaki w *Balladynie* uderzył poeta przedtem.

Bohaterem tu nie jednostka ale cały naród, nie-
szczęśliwy, „przeklęty“ skazaniec, wskutek panującej na
świecie wszechwładnie brutalnej przemocy fizycznej,
o upadek nagły przyprawiony.

Sama treść tego utworu wstrząsa swym krwawym
tragizmem. To też długoby szukać w skarbach wszech-
ludzkiej poezyi, by taki krzyk rozpaczy, jakim jest *Lilla*
w niej znaleźć.

Giną szlachetni Wenedzi. Przemoc ich zwalcza, by
do cna wytepić a stokroć bardziej, niż przemoc, upadek
dawnej ich wiary. Symbol narodu: harfy, przestały się-
gać swym dźwiękiem do dusz, przestały budzić w nich
oddźwięk i to, co zapewniało w najkrytyczniejszych
momentach zwycięstwo, straciło swą moc pobudki.
Więc choć Lechici liczebnie są słabsi i gorsi, przecież
im przypadł tryumf po trzydniowym boju, bo pełni
wiary w swe jutro, wierzą w żywotność narodu.

Tylko bezdomny pogrobowiec polski mógł stworzyć
taką pieśń bólu, z taką szczerością wyrazu wprost z du-
szy rzuconą w świat podeptanych.

A gdy do treści tak wniosłej dodamy te znakomite,
na zawsze zostające w pamięci postaci, przeczystą

chrześcijankę, Lille, najświetniejszy promyk w gnieździe Derwidowem i „nieszczęśliwą“ prasłowiankę-wrózkę, wcielenie bólu całego narodu i matki przyszytych mścicieli mąk jego, — a dalej wzruszającą, wielką postać króla i harfiarza i głęboko pomyślaną kreację „dwugłowego wodza“, (symbolu męstwa i uczuć w narodzie), — złoży się całość tak piękna i szczytna, że do skończonej, niezaprzeczalnej doskonałości utworu brak jeno głębszych i nie tak rażąco zewnętrznych kolizji i zawikłań w „sztuce“, — że do klasycznej w całym tego wyrazu znaczeniu posągowości tego arcydzieła trzeba tylko usunąć mdłą postać św. Gwalberta, względnie inną mu wytyczyć drogę oraz przerysowaną figurę komiczną, nie budzącą na tem tle śmiechu, osobistość Ślaza.

Wyjątkowa to w sztuce tragedia, a wyjątkowa i przez to, że nie jednostka, lecz naród a jeśli reprezentowany przez jednostki ludzkie, to przez herosów, a nie śmiertelników przeciętnych, zwykłych, małostkowych, drobnych, ma za bohatera.

Jakkolwiek ściśle z akcją nie związane, potęgują nastrój grozy i powagi, pieśni dwunastu harfiarzy, z tą męską pieśnią najgenialniejszego harfiarza na końcu, której na imię: *G r ó b A g a m e m n o n a*.

Wyżyn tragiczniejszego pathosu nie dosięgnął dotąd dramat polski nigdy, wrażenia boleśniejszego nie sprawił żaden utwór o podobnej treści, doskonalszych piękności poetyckich nie słyszał teatr ni przedtem, ni potem. To też pojawienie się Lilli na scenie, przyjęte z niedo-

wierzaniem, było wypadkiem pierwszorzędnego dla teatru polskiego znaczenia a choć przygnębiające czyniła wrażenie ta dzika orgia nieubłaganej Ananke na deskach, przecież skądś, z dna polskiej duszy, przez usta natchnionej kapłanki Wenedów rwało się także słowo chrobrej wiary:

„*Exoriare aliquis ex ossibus nostris ultor!*...”

Drugim utworem tragicznym poety, gdzie również czarne, bezlitosne Fatum kieruje losem ludzi i ich spraw, jest krwawa *Beatrix Cenci*.

Lecz jej idea przewodnia, wyrażona w zapowiedzi Wiedźm:

....„Żegnajmy węzami drzwi, —
To nasz dom, to pałac krwi: —
Potępione całe plemię...”

nie jest bynajmniej konsekwentnie w niej przeprowadzona. Co moment w tok fatalistycznej tragedii wplatają się motywy działania wyłącznie psychologiczne a nad całym mimo to utworem unosi się eschilowski problem przeznaczenia i powoduje tę, nawet u Słowackiego wcale rzadką, niejednorodność tragedyi, budząc wrażenie czegoś niesharmonizowanego i chaotycznego.

Wprowadzenie w dzieło makbetowskich wiedźm, nawiasowo mówiąc, znowu nieporównanie silniej działających, niż czarownice Szekspira a lekkich i doprawdy nie z tego świata ród swój wywodzących, jakie tylko

mógł przyoblec w ciało genialny twórca Goplany, — jest główną wadą utworu, bo gdyby ten czynnik z dramatu usunąć, gdyby mu odjąć znamię „Schicksalstragedyi“ niemieckiej, — niezawodnie rzecz cała, oparta na psychice nieszczęścia i zbrodni, zyskałaby na koncentracji architektonicznej i na prawdziwie tragicznych motywach.

Tak, jak jest, ta orgia instynktu, ta wszechmoc zła i brzydoty przygnębiające na widzu wywiera wrażenie a nazbyt mało jest w dziele momentów tak jasnych, jak cudny duet miłosny Gianiego i Beatryczy w obliczu sądu i w obliczu śmierci, by tamten dominujący a zło-wieszczy ton mógł się choć w części złagodzić i zciszyć.

Sama bohaterka tragedyi, pełna godności lecz i namiętności, mogąca wyzwolić się z błędnego koła zamachem na życie własne, a mordująca jedynie z żądy rozkoszy i żądy istnienia, — nie przemawia do naszych uczuć i miast dramatycznego współczucia u widza, budzi jedynie zimną, chociaż nie wolną od sympatyj grozę.

Shelleyowskie *The Cenci*, to konsekwentny w najdrobniejszym szczególe historyczny dramat o dziewicy, zmuszonej porwać się na życie ojca, by zejść ze świata nie tylko niewinną ale także białą i dlatego, choć znakomity poeta angielski nie rozsunął w swoim utworze takich akcentów lirycznych, jakie czarują, na nieszczęście rzadko, w tragedyi polskiego poety, choć tamten na krok nie schodzi z gruntu realnej, historycznej prawdy i stawia nam przed oczy nagą rzeczywistość, przecież już przez to samo, że za treść swego dzieła bierze sam ów kazirodny, zbrodniczy stosunek i jego następ-

niczny, jest Walter Stadyon, szkic raczej, niż plan jasno stawającego w wyobraźni dzieła, jest i Jan Kazimierz, niegdyś twór zupełny, ale zaginiony, jest i Beniowski, poniechany wkrótce, gdy autor powziął myśl o poemacie, jest Agezylaus, ideowy dramat o doskonałej figurze Agisa, męczennika ducha, jest przede wszystkim jednak Złota Czaszka, i dwa fragmenty znacznej objętości, któreby nazwać najtrafniej wypadło: Romantycznymi (do dziś Niepoprawni) oraz Hamletem polskim (dziś Horsztyński).

Realny obraz obyczajów polskich, plastyczność osób, kontuszowość stylu, ruch, głębia uczuć, drogich pokoleń, nakoniec węzeł dramatyczny dzieła, zadzierzgnięty z prostotą twórczą i swobodą, że zaszczyt przynoszącem poecie poczuciem właściwej miary: oto powody, dla których śliczna Złota Czaszka, mimo swą fragmentaryczność, waży w naszej ubogiej poezji tragicznej, dla których żyje po dziś dzień na scenie. Arcydziełem także bez zastrzeżeń jest utwór zwany powszechnie Horsztyńskim.

Fizyognomia epoki i ludzi na schyłku dni naszych lepszych odtworzona tu z taką prawdą i z takim rozdzierającym uczuciem zgnębienia, że przez sam wybór takiego tematu utwór ten winien w wiecznej żyć pamięci.

A cóż dopiero, gdy się nadto zważy niewyczerpane bogactwo piękności, jakich tu pełno i najwybitniejszych. Jaki wspaniały jest w swojej powadze ten żołnierz polski, konfederat ciemny, którego cichy i serdeczny

dom stanowi port i ostoję po huraganie nieszczęść i rozpaczy dla największego w tragedyi rozbitka, przez dziwną ironię losu „Szczęsnym“ nazwanego!... W jakież wir najostateczniejszego pod słońcem tragizmu wchodzimy wraz z poetą, ilekroć przed naszym wzrokiem rozpostrze się wnętrze zamku! Mieszka w nim magnat-ńedznik i jego syn, ńedzarz życiowy, wbity na szpilkę udręczeń, czujący ohydę swego otoczenia a nie mogący wyjść z błędnego koła moralnej ńedzy, nieszczęść i miłości, — jedyny w poezyi Hamlet, nie mogący być niczem innym, po stokroć, po tysiąckroć nieszczęśliwszy jeszcze od duńskiego, którego całe jestestwo wre głuchą burzą protestu.

Na tle najnieszczęśliwszej epoki narodu postać ta występuje z taką siłą bólu, że sama jedna, jedyna w poezyi o naszej doli najwymowniej świadczy. Umiejętność wczucia się poety w tak złożoną duszę, w takie wprost bezprzykładne w smutku sytuacje jest niedocieczoną tajemnicą genialnej intuicyi twórczej Słowackiego i cudnym, jasnym dowodem wielkiej, synowskiej jego czci dla Zgasłej.

Kto tak krwią serca, kto tak łzami pisał, musiał ogromnie i bezmiernie kochać!

Tragedya ma układ wyborny, mistrzowską architektonikę akcji, która toczy się wciąż ku przepaści z żywiołową siłą jak lawina i wrażenie tragiczne coraz rośnie, coraz się wzmaga, katastrofa widna coraz bliżej, straszna, niecofniona, nieunikniona, konieczna, słowem, jeżeli nie o poemacie ale o tragedyi w dosłownem, sta-

rogreckiem rozumieniu mowa: niema nic doskonalszego w spisie dzieł ojczystych.

A stosunek świetlany, mimo swą występność, dwojga czystych serc? a moc scen wręcz klasycznych w grozie i tragizmie?

Oto śliczne i wstrząsające Dobranoc Horsztyńskich:

....„Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron!...”

Śpiewa swą pieśń zbożny wieczór, — ostatni wieczór istnienia i męki. Genialność tego zestawienia tak działa przejmująco, że nawet tamta druga, tragiczniejsza realnie scena, równie na zbiegu kontrastów oparta, — spotkanie Horsztyńskiego z nienawistnym, odwiecznym wrogiem osobistym — błędnie przy tej przedwieczornej.

Wogóle niepospolite piękności utworu wybiegają tak daleko poza wszystko, spotykane w tragedji powszechnej, że strata tych paru nieodżałowanych scen, jakich do skompletowania całości arcydzieła braknie, jest krzywdą literatury i szczególnie sceny, tracącej raz na zawsze niezaprzeczalnie najdroższy swój klejnot i kwiat.

Najoryginalniejszym jednak może utworem wielkiego poety jest *Nowa Dejanira*, nosząca jeszcze drugi i równie do treści i intencji twórcy nieprzystosowany tytuł: *Niepoprawni*, a odmienność jej od wszystkiego, co z pod pióra Słowackiego-dramaturga wyszło, polega na niesłychanie subtelnym tonie ironicznym, jaki

to dzieło twórcy Beniowskiego przenika nawskróś i na żywym nerwie komicznym, pierwszy raz z taką siłą u poety się pojawiającym, który mógł cały utwór, gdyby go był poeta szarmonizował w tylu sprzecznych tonach, uczynić najdelikatniejszą w rysunku, iście koronkową w misterności swej i wykwincie, komedią polską.

Niestety wir twórczych myśli wplątał w komedię dramat i oba te rodzaje zwichnął w zarodku nieledwie.

Przewybornie pojęta para egzaltowanych, młodych marzycieli, z zadziwiającą bystrością obserwacyi z życia podpatrzona a mimo oczywistej, widomej w każdym szczególe chęci wyśmiania ich rozanień, z ciepłem uczucia przecież odtworzona i pełna najmiłszego uroku i wdzięku we wszystkim, co robi, — to był pomysł tak oryginalny i taki znaczący, choćby jeno przez sam wzgląd na to, że najromantyczniejszy z romantyków polskich chłostał nim romantyzm sztuczny, rozczochrany, modny, iż żadna piękność późniejszych scen dramatycznych nie zdoła zadośćuczynić za krzywdę, wyrządzoną poezyi ojczystej przez poniechanie tak świetnej komedyowo-satyrycznej strony tego dzieła.

Bądź co bądź są tu rzeczy tak wysokiej próby poetyckiej, że mimo wszystkich usterek i wad, mimo jaskrawe przeciwieństwo tonów, ta komedia gwałtem przerodzona w dramat, ten dramat strywializowany rubaszością pierwszej i niefortunne zawikłaniem dzieła, wchodzi nawet na deski teatrów i na zawsze zapewne stałym będzie czynnikiem w repertoarze scen polskich.

Więc nasamprzód dwie (tytułowe z pewnością),

naczelne postaci sztuki, Fantazy oraz Idalia, szermierze wzniosłych frazesów, reprezentanci sztucznych aspiracji, podniebnych wzlotów ery romantycznej o afektowanej dykcji i pełnym niezwykłości geście, — przesadni, egzaltowani, pozujący, smętni, — mimo wszystką zaś śmieszność i szlachetni i piękni i sympatyczni i poetyczni naprawdę, wytworne inkarnacje arystokratycznych, mizogicznych natur, — ucieleśnienia nieokiełznanej, wichrowej „fantazy“ i niedosięzonego nigdy „ideału“: — to wiekiusta młodość tego dzieła, jego dyskretność, piękno i poezya.

A gdy się doda do tych dwu naczelných i resztę osób tej sztuki: dwie cudne polskie dziewczice, jedną poważną, zadumaną, smutną, — drugą naiwną, figlarną i szczęsną, — i tego sybirskiego, młodego wygnańca i tę nieporównaną w wykonaniu parę: więc papę-egoistę i równie przesyconą atmosferą wieku mamę-romantyczkę, znakomicie przeciwstawioną w swej śmieszności bez cienia wdzięku tamtym dwojgu śmiesznym lecz pięknym, bo młodym i poetycznym istotnie kochankom, okaże się omawiana sztuka pod względem barwnej galerii doskonale zaobserwowanych w życiu „romantyków“ jednym z najteższych malowideł twórcy smutnej tragedyi o harfie Derwida.

...„Obaczysz wkrótce, — pisze Słowacki do matki, — zem się bardzo wiele i może zanadto wypisał, a zamiast obrazu przysłałem wam dwa obrazki, jeden dawny, wielki

obraz starego Hiszpana, odlakierowany przeze mnie na nowo... Niech się więc mną ten Hiszpan, mnich srogi, opiekuje, — bo się teraz zupełnie na opiekę Niebieskich spuszczam, a o ziemię zupełnie nie dbam. Chciałbym jednak, aby było choć kilka tak czystych duchów w Polsce, aby wierzyły, że zawsze i wszędzie wierny jestem... i tak, jak mój Książę niezłomny srogo i twardo stoję przy dawno strzeżonej chorągwi — a może na straconej placówce“...

Słowa powyższe wprowadzają nas w ostatni, mistyczny okres życia i działalności twórczej Słowackiego, — w epokę, w której poetyckie dzieło to nie tylko owoc twórczej wyobraźni i czyn literacki ale misya i imperatyw wewnętrzny, służba Idei Bożej, obowiązek i powołanie, filozoficzno-religijne credo. Natchnienie twórcy nie idzie z niego samego, nie jest wpływem rozumu lecz jako sprawa Ducha, jako wyłanie się tajemniczej mocy, tkwiącej i działającej w wybranych jednostkach, nie śmie być kontrolowane, zmieniane czy określane, musi w tej formie zostać, w jakiej się z piersi dobyło pod wpływem woli wyższej.

Twórca Lilli Wenedy doszedł do przeświadczenia, że istotnym, prawdziwym i jedynie pewnym jest jeno lotny świat duchów a wszystko, co za realne w powszednim życiu przyziemnem przywykliśmy uważać, jest złudną fantasmagoryą. Praca jednostek i jej owoc, to wpływ, skutek śmiertelnego boju Ducha jasności z Duchem złej pomroki, w poszczególnych zwycięstwach jednej z tych nieśmiertelnych potęg wo-

jujących leżą przejawy cywilizacyjnych okresów w zbiorowym życiu narodów, indywidualów, całej ludzkości.

To też taką owiane teorią, nie zmieniane po napisaniu, nie sądzone okiem artysty, ale w pierwszej redakcyi, w formie, jaką podyktowało chwilowe natchnienie z góry, zostawiane i publikowane, — tragiczne utwory poety z tych czasów są niepowstrzymanymi w pędzie swym improwizacyami, wizyami rozbującej i dominującej nad wszystkim fantazyi, — zostawiają też, zarówno przez tok swego, jak lawina toczącego się bez końca wiersza, jak przez płomiennosc swoich krwawych scen wrażenie czegoś, co budzi dreszcz trwogi, co przenika do dna jestestwa i pali jak pożoga swym namiętym, najgórniejszym, jaki jeno pomyśleć można w poemacie, tonem.

Na pierwszym miejscu „wielki obraz starego Hiszpana“, którego „brylantowa i świętości pełna imaginacya“, stale w okresie mistycznym oderwanego już od ziemskich spraw poetę karmiła, wyjątkowa w dziejach dramaturgii powszechnej tragedia, pozbawiona winy, namiętności, zła a w najwyższym stopniu dramatyczna, przez podniesienie bohatera sztuki w sferę cześć budzącej, uginającej kolana świętości: — klasyczny *Książę Niezłomny*.

Jak musiał kochać ten „obraz“ Słowacki, jak przyłgnąć sercem do tej wzniosłej treści, kędy „Chrystus zwycięża nie przez miecz lecz przez męczeństwo“, jak odczuć wielką analogię losu herosa — infanta z losem cierpiących bez winy Anhellich swego narodu, dowodem ten

mistrzowski przekład, arcydzieło, jakiemu równego, do jakiego zbliżonego nawet nie szukać poprostu w poezyi.

Wierność z oryginałem a równocześnie nadanie tragedyi kolorytu niemal rodzimego: godzą się tu tak harmonijnie, że dzieło czyni wrażenie, zważywszy i swobodę najcudniejszego, jakim kiedykolwiek pisano po polsku, wiersza i języka, czegoś wyrwanego bezpośrednio z duszy tworzącej z siebie nie odtwórczej.

Nie przekład to, nie powtarzanie za poetą obcym, — nasza to własność, nasz utwór serdeczny, bo z naszych łez i zawodów, z naszych mąk i boleści utkany i wyrzeźbiony.

Pisze Miciński o Księżciu Niezłomnym:

„...Książę Niezłomny ma dwóch bohaterów: pierwszym jest Hiszpan a drugim jest Polak. Infant — rycerz pełen godności, etykiety i dogmatyzmu, — książę — brat niewolników, cichy i pokornego serca, jako apostoł Jan z głową na sercu Chrystusa oparty. Infant, najwierniejszy poddany swego Króla i książę, najlepszy syn swej Ojczyzny. W poemacie Calderona pełno jest słońca, lazurów i kwiecia, — pełno wymowy dworskiej i dyalektyki, pełno szczęku oręza i dumy powiewającej pióropuszem. A ponad tem wszystkim surowy Krzyż. U Słowackiego są łzy, są taczki i lody syberyjskie, są smutki i melancholie rozpaczliwe, a ponad tem wszystkim: — Gwiazdzista Róża Miłości.

Obaj są króle w każdym calu płaszcza, tylko, że Calderon pisząc, spoglądał na granatowe niebo, śnieżną Guadarramę i dumne palmy królewskich ogrodów, —

a przez otwarte okna dolatywał go brzęk mandoliny i wesoły gwar ludności madryckiej, — a Słowacki widział przed sobą korowody wynędzniałych cieni, rzucał się na ziemię i darł swoje piersi. Książę Niezłomny ma duchowe powinowactwo z Anhellim, tylko że jest mniej sonatą a więcej posągiem. Ma on precudowne oblicze bohatera, jak Regulus, świętego jak apostoł, czulego jak Antygona. Każde polskie serce powinno by na nim rosnać, — w nim się odnajdywać“...

Rosło też przed dwoma laty, gdy we wspaniałej, godnej geniusza oprawie wszedł potężny ten utwór na scenę i odrazu uderzyła wielkość jego niepospolitych piękności scenicznych, wzniosłość jego modlitewnych hymnów i boleściwość skargi, łkającej z jego osnowy.

Apoteozą potęgi duchowej, w obliczu której fizyczna jest niczem, są dwa ostatnie dramaty poety: *Srebrny Salomei* i *górnym Księdz Marce*. Przez nieskażoną czystość dusz i serc, przez bezgraniczną i niezłomną wiarę, przez pokorę iście Chrystusową można dojść do takich wyzryn udoskonalenia i do takiej siły, że się podoła wszystkiemu, wszystko zmoże, wszystko pokona. Wszelki też grzech przeciw pokorze i przeciw litości, grzech pychy, nieufności i nieposłuszeństwa objawieniu Bóstwa, zwykle w śnie zsyłanemu, rodzi długą, bolesną pokutę, o losie rozstrzyga ludzkim, sprowadza katastrofy krwawe i tragiczne. Idea nieogarnionej miłości i wiary, pobratanie i pojednanie stanów,

jednako dla Ojczyzny czynem zasłużonych a spiekłszy bólu roniących: — oto podstawny, zasadniczy ton, problem sztuk tych i wykładnik tezy tych dramatów, które dopiero pokolenie najmłodsze na deski scen wprowadziło, a które wobec jednogłośnie krytyki z przed lat, zdumiewający, bo niespodziewany odniosły w teatrze sukces i dały się poznać wszechstronnie, pełniej i w całym swym blasku.

Tonąc w odmętach doktryny mistycznej nie dał poeta w tej dobie utworów tak dramatycznych w powszechnem znaczeniu, jakimi były arcydzieła dawne, — pokazało się wszakże dzisiaj najdowodniej, że zarówno Ksiądz Marek, jak Sen Salomei mają wprost niecodzienną wartość teatralną i że działają bez porównania potężniej na widza, niż na czytelnika.

Jedno świadectwo to więc, że Słowacki to twórca *par excellence* dramatyczny i tragik z urodzenia oraz powołania.

Ograniczyć jeno w ostatnich dwu pracach ich wielomowność nadmierną, — a poprzez mglistą i obcą nam już dziś doktrynę ujrzy się niepospolitej wartości tragedye, pełne cudowności, niezawsze szczęśliwie użytej i uzasadnionej ale i plastyki takiej, do jakiej wielu dziełom poety daleko, bogate w mistycyzm lśniący lecz ożeniony z najsurowszym w sztuce realizmem, tragizm z żywiołem najbardziej komedyowym, najidealniejsze, nawskróś oryginalne ucieleśnienie najzwiewniejszych wizyi obok najśmielszego zaklęcia w czyn najkrwawszych możliwie scen, najpotworniejszych obrazów.



Rozbijał w swej fantastyczności, szczeropolskie w swej treści, duchu i kolorze, a najegzotyczniejsze w architektonice, wierszu i języku, obiedwie improwizacje tragiczne z tej doby, z uwagi na brak warunków scenicznych — w błędnym rozumieniu poety — nazwane przezeń raz „romansem“ a drugi „poematem“ jeno dramatycznym, — mają momenty tak wręcz genialne, że cały dramat polski podobnymi poszczycić dołąd się nie może.

Ustępy te dopiero w pietyzmu pełnej interpretacji artystów tragicznych objawiły się w całej swej mocy, jak reprezentacja sceniczna dopiero ujawniła w dotykálny sposób, że kompozycja sztuk obu, na pozór nikła i wątła, jest jednak niezmiernie spójna a pomieszenie tragoosu z elementem komedyowym, lekkim i subtelnym i nieuchwytej poezji nastrojów z krew ścinającym w żyłach realizmem w traktowaniu walk, starć i katastrof, — splata się w tak oryginalną, charakterystyczną, odmienną od wszystkiego, co się zwykło widywać na deskach scen, całość, że obiedwie tragedye weszły w skłąd repertoaru i są atrakcją każdego sezonu, przy najmniej w stolicy Piastów.

Pełen godności i cały wcieleniem poświęcenia polskiego będący, mistyczny heros „poematu dramatycznego“ wzera się w pamięć na zawsze. To patriota a przytem chrześcijanin w najwznioślejszem znaczeniu wyrazu, krew z krwi, kość z kości ludzkiej a przecież przez gorącość swej przepastnej wiary, przez swą wewnętrzną, boską doskonałość, moc cudów w życiu ma-

jący. Nieustraszony to sługa Zakonu, wizjoner, symbol miłości odważnej i ofiarniczej, około niego też głównie skupia się nasza uwaga w tem dziele, włożył poeta w tę postać wszystek żar swego uczucia, surową wiarę w prawdę swej doktryny, szczerość i impulsywność, dziewiczość i żywiołowość swojego natchnienia, sprawiając, że utwór mówi, w odróżnieniu od reszty dzieł jego, z najsubiektywniejszą wręcz bezpośredniością i nie tracąc charakteru poetyckiej fikcyi staje się propagandą, hasłem i dogmatem.

A to samo dotyczy „romansu“.

Zaciemnia oba utwory wspomniane doktryna, obarcza je wiersz zbyt rozwlekły a trudny i nużący wiersz ośmiozłotkowy, obniża ich piękno i artyzm, niesłychana zawilóść szczegółów i epizodów i przeładowanie środkami „nie z tego świata“, nie zawsze i nie wszędzie trafnie w tok dzieł wplecionymi, zniechęca do nich jaskrawość obrazów, wyłącznie krwawych i przerażających a jednak ich wspomniana już wyżej sceniczność, ich kompozycja, mimo wszelkich a licznych usterek, logiczna i harmonijna, ich wreszcie pęd wybuchowy, język, uczucie wielkie ku Ojczyźnie i najczystsza wiara, z ekstazą granicząca i wizjonerstwem, konsekwentne wysnuwanie, mimo aparat sztucznej cudowności, skutków i katastrof z win w duchu Towiańskiego za winy uznanych: — oto warunki powodzenia obu prac na scenie, oto powód, że tak „poemat“, jak „romans“ tragiczny, ideowo splecione, chaotyczne, cudze, formalnie są rzeczami rzetelnej, trwałej wartości i piękna. Nigdzie też

indziej niema tyle kalejdoskopowej różności barw i nastrojów, nigdzie tylu krańcowych, biegunowo sobie przeciwnych usposobień, dążeń, — a choć jeden fałszywy ton mógł być wszystko wypaczyć i zwichnąć, jednolitość szlchetnego stylu jest w obu niezaprzeczona i jak najszczęśliwsza.

* * *

W ogólnej ewolucyi dramaturgii polskiej zajmuje Juliusz Słowacki pierwsze i najwybitniejsze stanowisko tragika narodowego, tem widoczniejsze i pełniejsze zasług, że jest to odosobniony na tem polu twórca, najwyższy i jedyny geniusz w dramacie. Niejedno zawdzięczając wpływom postronnych twórców i arcydzieł, — przetwarzał wszakże zapożyczone od tamtych pomysły na tak oryginalne i własną krwią pulsujące motywy tragiczne, że ten sposób tworzenia wykazał raczej jego genialną samodzielność twórczą, której w ciągu swojej działalności umyślnie dawał wyraz, jakoby w zamiarze zmierzenia się z najgłośniejszymi. Że z takich prób ryzykownych zawsze wychodził zwycięsko, dowodzi nie jeden poruszony w ciągu tego szkicu, motyw jego dzieł, że tak bujna i samorzutna poetycka organizacja ducha świadomie i z celowością w ten sposób postępowała, uzasadnia chociażby to, iż do odtwarzania cudzych, obcych myśli, do niewolniczego trzymania się pierwotnego wzoru nawet w jedynym w życiu swem przykładzie tragicznym nie mógł się twórca *Balladyny* nagiąć

i „przetworzył w duchu“ klasyczne a tak czczone przez się i cenione arcydzieło hiszpańskiego „mnicha“.

Więc choć nietrudno dostrzedz tu i ówdzie reminiscencyi bądź z Waltera Scotta, bądź Chateaubrianda, wpływów Schillera, czy Alfierego, pożyczek z Calderona, Balzaca, Shelleya, — nadewszystko zaś genialnego autora *Hamleta*, — przecież wszystek ten wpływ tak jest ograniczony do zewnętrznych jedynie podobieństw i analogii, — a tak przeistoczony i zindywidualizowany na ojczystym gruncie, że arcydzieła pierwszego prawdziwego twórcy tragicznego w Polsce są w każdym rysie swoim samoistne, własne.

Dzieło to bezprzykładnej w piśmiennictwie polkiem wyobraźni twórczej, takim bowiem bogactwem fantazyi czasem aż nie do ujęcia nie odznaczał się żaden nasz geniusz i mało geniuszów świata ujawnia taki jej przepych i taką rozrzutność.

Cierpi przez tę rozwiewność akcja tragedyi, cierpi rzeczywistość, obserwacya, życie i tu jednak są cudne, choć rzadkie, wyjątki, świadczące o proteuszowym talencie artysty, o przebogatej skali jego uzdolnienia, dzięki któremu, jakkolwiek niechętnie, twórca *Goplany i Ducha w Horsztyńskim*, umiał się po mistrzowsku orientować w świecie zjawisk życia, dowodem czego poruszone powyżej czysto realne momenty tragedyi.

Przedewszystkiem atoli dał Słowacki poezyi naszej kilkanaście niezwykłych charakterów ludzkich, bogatą galerję postaci wiekuistego piękna i nieśmiertelności, przyczem zwłaszcza natury marzycielskie, bierne, du-

szere natchnione i rozblękitnione, usposobienia rzewne, tkliwe, miękkie malował z tą niedoścignioną delikatnością i lekkością pędzla, jakiej nikt nie dorówna, jaką tylko bluszczowa natura jego, twórcy Eloi, umiała ujawnić.

Pastelami są jego dzieła, przez pryzmat łez i uniesień, przez delikatną mgłę wzruszeń i westchnień, kreślonymi z wdziękiem niewieścim. Z pośród kreacyi męskich najwspanialej wypadli, najpiękniej, melancholicy, wielbiciel piękna, nigdy szczęśni, nigdy radośni, zawsze smutni i beznadziejni, kochankowie-czciciele delikatnych istot, występni w swych uczuciach a nieskazitelni w osądzaniu ich i tłumieniu. To Zbigniew Wojewodziec i Szczęsny w *Horsztyńskim*, to odmienny od tamtych, bo skarłałego wieku syn skarłały, entuzyasta Kordyan, o najgórnieszych wzlotach i zamysłach a słabej woli i wątłej energii, to wreszcie hr. Fantazy z tej samej, co poprzednik jego rodziny pigmejskiej, przeczulony i egzaltowany, nie sięgający jednak wysoko, jak Kordyan, ni myślą, ni dłońią a idący przez życie z rzewnym smutkiem i melancholią nierozumianego przez tłumy artysty.

Z drugiej zaś strony lśnią rycerskie oczy, hartowne, męskie, chobre dusze mężów: wśród nich ci starcy, wzniośli, jak *Horsztyński* albo *Złota Czaszka*, wśród nich ci sympatyczni junakowie młodzi, jak chwytający za serce *Mazepa* lub poślubiony sprawie, mężny *Kirkor*, wśród nich przepastnym smutkiem smutny *Jan*, w sołdacki szynel wtłoczona pierś polska, a tuż za nimi król wyklętych, *Derwid*, *Popiel-Pustelnik*, *Polelum* i *Sawa*,

wreszcie wyborne wcielenia i inkarnacye zła i namiętności: von Kostryn, Hetman, Wojewoda, Negri i już nie ludzie ale półbogowie, herosi w najdostojniejszym znaczeniu wyrazu: przodownicy narodu, kapłańscy harfiarze, Książę Niezłomny, książdz Marek...

A po stokroć jeszcze bogatszą jest galerya figur niewieścich, kreacyi tak znakomitych, że im jedno najwyższe ucieleśnienia kobiecości w sztuce są zdolne kroku dotrzymać: — To nieodparty czar siejące wokół obie Amelie i Lilla Weneda, — to Salomea, — żona Horsztyńskiego, Dyana i Stella, podbijające i serce i pamięć czystością swą i słodyczą, to męska, majestatyczna, orla dusza Rozy, najtragiczniejsza przez ważność swej roli ze wszystkich niemal bohaterek twórcy, to upadła a dziewczęco biała Salusia ze Snu i poetyczna, wykwintna Idalia, — to kameleonowa postać Beatryczy, egoistki, zdolnej najwznieściejszych uczuć, to dwie wspaniałe w swojej prawdzie matki, matka Rogneda i wygnana Wdowa, — wszystkie mistrzowsko rzucone na papier, pierwszoplanowe, prawdziwe i świetne, genialny owoc natchnienia poetyckiego, przedziwnej intuicyi twórczej, obserwacyi i znajomości człowieczego serca.

Gdy się zaś doda do tego najwykwintniejszy, najczystszy, jaki tylko był w Polsce, język oraz wiersz, mocą których każde z dzieł poety, chociażby dramatycznie zostawiało wiele do życzenia, jest „przedziwnością“ ojczystej, do wirtuozowstwa, niebywałego do tej chwili, doprowadzonej mowy poetyckiej, — gdy się

dołączy plastykę dramatów, pomimo wszelkich grzechów i usterek przeciw jednolitości architektonicznej, niezwykle silną, chwilami potężną, przeradzającą dramat w płaskorzeźbę, oraz sceniczność wręcz zdumiewającą wobec faktu, że twórca *Mazepy* żadnej z prac swych na deskach scen nigdy nie widział, — okaże się najdowodniej, że wielkie, drogie nazwisko: „*Słowacki*“ nad wszystkie inne znaczy tu i waży.

Najwyszukańszy a zawsze jednak artystyczny tragizm, pomimo krwawość i okropność scen, — przeczyste piękno natchnionego słowa i poezja sytuacji, najlżejszych, najsubtelniejszych w dramatyce świata, miękkość i delikatność, dyskrecya i wykwiut uczuć, wypukłość charakterystyk, rzadki, lecz w najprzedniejszym rodzaju humor, dowcip, czy ironia słowa, widniejące głównie z *Dejaniry*, mówiące nawet z krwawej *Beatryczy*: — oto najznamienniejsze cechy dramaturga, który najwyżej się wzniosł z pośród wszystkich, a jeśli ostatniego słowa w tragedyi nie wypowiedział i nie dał nam całości tak genialnie skupionej i zwartej, jaką na polu produkcyi komicznej dał *Fredro swemi Ślubami*, przecież nie może być dwóch zdań w tej mierze, że twórca *Horsztyńskiego*, to szczyt i wykwiut tragedyi ojczystej, jej chwała, wielkość, ozdoba i moc.

— Któż wie, czy gdyby, jak *Fredro*, mógł być widzieć które z swych dzieł na scenie, nie byłyby nam dał czegoś tak doskonałego w obranym przez się zakresie, jak nam tamten zostawił w swoim, — i czyby

był nie stanął na tej wyżynie zasług i znaczenia, jakie w poezji świata ma Szekspir, Schiller czy Götthe?

Ma je i tak, niepodzielne, bo wyższych natchnień w dramacie nie mieliśmy i nie mamy, — ale, że każda z prac jego ma braki innej natury, — że jedne są dla czytających, a najwspanialsze z scenicznych najczęściej nie są zupełne, — przeto nam czekać wciąż, aż się ziści marzenie wieków i niepożyte arcydzieło wyda: — do naszych wszakże dni największe w tej dziedzinie, najzasłużeńsze nazwisko, to jedynie Juliusz Słowacki, geniusz miary niezwykłej i siły tak bezprzykładnej, jakiej tchnienie czuć jeno w dziełach najwyższych i najwybrańszych.

Kraków, dnia 19. czerwca 1908.

WIRTUOZ-LIRYK.

Uczuciowości miękkiej pełen naród, szczerp słowiańskiego, śpiewnego pnia, — Polska, — najczystsze „kwiaty“ swych serdecznych uczuć składała w cudnej liryce swych wieszczów. Uboga w wielką, potężną tragedję, w epice jednym lśniącym arcydziełem, w popo-wstaniowej dopiero epoce, na gruzach dawnej zrodzonym świetności, w liryce z dawna, od najrańszych dni odzwierciedlała szlachetność swej myśli i biel swych wzruszeń świętych i podniosłych w szczerych, na górny ton strojonych pieśniach.

Bezbrzeżna miłość i cześć względem Boga i ukochanie ojczyzny gorące: — oto, co głównie w strofach jej zachwyca.

Od wzniosłej pieśni do Bogarodzicy, przez namiętny psalm Kochanowskiego, przez rezygnacyi lub zgorzknienia pełny, wytworny sonet Mikołaja Sępa, przez Woronicza hymny modlitewne i Brodzińskiego uwielbienia ciche, — aż do dzisiejszych poetyckich płodów, nawskróś liryzmem przesyconych rzewnym, winie się długi łańcuch pieśni polskich, przedziwnie czystych w swem uczuciu ławem, w niepokalany wykwiint formy zdołnych.

W nich to, w lirycznych wynurzeniach twórców, leży najwyższe piękno naszej sztuki, bo i w epickich arcydziełach polskich do najpiękniejszych liczą się ustępy,

w których poeta swe uczucia własne z niewieścim wdziękiem i słodyczą kreśli. Tak w *Tadeuszu*, tak jest w *Maryi*, — wszędzie.

Z rasy, z dziedzictwa plemiennego, z własnej natury polskiej, miękkiej i serdecznej płynie rozlewność liryczna dzieł naszych i ukochanie tych strun nade wszystko, które w subtelny ton uczucia dzwonią.

Ta zwłaszcza, z łez i nieszczęść polskich urodzona, smutnym Jeremich głosem zawodząca, a mimo wszystko ufna i krzepiąca, której natchniony i wierzący duch dźwigał nas z czarnej otchłani rozpaczy, ta, która zdolna

.....własne ognie przelać
W piersi słuchaczy i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości“.....

by, gdy ich

.....,piosnka ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie“.....

— ta pogrobowa, krwią pojona pieśń, takim zenitem jest twórczości naszej, że ponad wzniosłość *Improwizacji* czy *Grobu Agamemnona*, nad żar płomiennej miłości w *Przedświcie*, nad bezgraniczną rozpacz *Skargi Jeremiego* i szczęsną pewność *zmarłychwstania z grobu* w *Widzeniu* ks. *Piotra* objawioną, nic już wyższego w pieśni być nie może.

A niema w Polsce jednego poety, któryby z uczuć

swych się nie spowiadał, w porozbiorowej głównie dobie klęsk, gdy się nad nami orkan mąk rozparał.

Od geniuszów do najmniejszych twórców każdy lirykiem był w tej smutnej ziemi i wypłakiwał jej serdeczny ból, — lirykiem zwłaszcza był jestestwem całym ten, który słodkich widzeń swego ducha, swych białych tęsknot, marzeń, snów i wzruszeń, niedoścignionym był w poezji piewcą, który się w zaświat zrywał nadobłoczny i znosił stamtąd na ten padół pieśń, bogactwem uczuć i fantazyi lśniącą, a wirtuozem słowa stał się takim i umuzyczył wiersz do tego stopnia, że jeno wielki geniusz liryczny może tak formą owładnąć mistrzowsko: — czuły, wrażliwy, fantasta, — Słowacki.

A choć ten geniusz to najwyższy tragic, jakiego Polska miała po dziś dzień, — „bluszczowa“ jednak dusza Słowackiego w onczas jedynie czuła się szczęśliwą, gdy zdala od przyziemnej, pogardzanej „rzeczywistości“, na skrzydłach nieokiełznanej, lotnej wyobraźni rwała się w błękit, by pić pełnią się rozkosz upojeń i doświadczać wzruszeń, jakich nie daje szara, smutna ziemia.

Te nieuchwytnie wniebowzięcia swoje, obce „zjadaczom chleba“ i nieznanne, geniusz twórczy zaklinał w kształt żywy zarówno w cudnych wylewach lirycznych, jak w dramatycznych, wielkich kompozycjach, lecz w tych ostatnich najprzedniejsze piękno i najgorętszych wzruszeń żywe źródło leży najczęściej w uczuciowych partyach, w motywach, słowach i scenach — lirycznych. I nawet w tych dramatach, które o wrogą oparł „rzeczywistość“, do najpiękniejszych te należą

to pamiętne Credo, co na tle cudnych oktaw Beniońskiego ujarzmią swoją wzniosłością i — grozą.

I ten, z którego rozmodlonych ust płynęło takie radosne *hosanna*:

„Pan nasz zamieszka z nami... baranek łagodny,
Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemienca,
Syn Boży pierworodny,
Wołający swe święte do chwały i wieńca..“

ten sam, co poprzez łzy sieroce szeptał:

.....„We łzach, o Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i na niebie,
Przez nas czyn Twoje czyni!
Niechaj się Twoje Imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy,
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla ran naszych i zmayı.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali —
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.....“

— ten sam, wielbiciel Czynu i walk wiecznych, jakie na drodze do szczęścia i prawdy staczać ludzkości trzeba wciąż, by dojść, — tak oto Bóstwo swe maluje groźnie:

.....„Jehowy oblicze,
Błyskawicowe, jest ogromnej miary.
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę koście, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnemi grzbiety
Leżą — i świadczą o Bogu — szkielety,

Widzę: że nie jest On tylko robaków
 Bogiem i tego stworzenia, co pełza.
 On lubi huczny lot olbrzymich ptaków
 A rozhukanych koni On nie kielza...
 On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
 Wielki czyn często Go ubłaga, nie ła
 Próżno stracona przed kościoła progiem:
 Przed Nim upadam na twarz, — On jest Bogiem!”

Bezdomny tułacz, pogrobowiec smutny u stóp Litości
 łkał w godzinie męki a świadom swojej potęgi poeta,
 bojownik Jutra pełnego wielkości, Boga czcił jako mi-
 łośnika czynu, jako początek wszelkiej pracy twórczej.

Po łzach słabości, gromki hymn bojowy; — bło-
 gosławieństwo Boże jeno z tym, kto Mu się czynem
 i wielkością modli.

I taka Wszchemoc była jego bóstwem stale już od-
 tąd po ostatnie tchnienie, gdy panteista i natchniony
 mistyk obcował w swoich wizjach płomiennych z Pa-
 nem, mówiącym doń z krzów gorejących.

...„Bo Pan, mówiący w objawieniu: — Jestem!
 Napadł mię w ogniach z trzaskiem i szelestem —
 Przetoż się Panie, wiecznie upokorzę,
 Pomnąc na ono płomieniste łoże,
 Gdy Pan nade mną stał w ognia oponach,
 Gdym był jak ptaszek w Pana mego szponach,
 Gdy stał nade mną jak ogień straszliwy,
 Kiedym się w strachu sądził już nieżywy...”

Stąd to mistrzowskie wczucie się poety w niezłomną
 duszę fanatyka-ojca, co postradawszy wszystkich swych
 najdroższych nie do bluźnierstwa i nie do zwątpienia,

ale do rezygnacyi dochodzi w sieroctwie i wielbi, modli się i głosi chwałę nieogarnionej potęgi niebieskiej, tej niszczycielskiej, strasznej i burzącej, która go starła w proch w swym twardym gniewie.

..., „O, bądźże Ty mi pochwalony, Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wyraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki,
O Allah, Akbar, Allah, jesteś wielki!...”

Trudno o wyższą wzniosłość w dziele sztuki, przeto na czele utworów lirycznych nieśmiertelnego twórcy *Kordyana* te grzmiące strofy stawić należało.

A że wśród onych spowiedzi i modlitw i najpiętsiwsza rzewność ma swój wyraz, dowodem choćby ta świętość *Dziewicy*, z rafaeliczną, gołębią prostotą w najcudowniejszą zaklętą poezję:

..., „Ta złote słońce Pańskie ma na głowie,
A pod nogami obrączkę księżycy...
...Piękna jak zorza. Długie jej warkocze,
Ciemne ku światłu, w złoto się mieniły,
W oczach szafiru światła i przezrocze,
W głosie anielskie, nieskończone siły:
Porywać serca ludzkie umiejąca,
A moc miłosnych dreszczów miała w dłoni,
Gdyś odszedł od Niej a pomyślał o Niej.....”

A jak serdeczne stworzenie o Bogu, tak o tej ziemi bolesnej i biednej z czią niewymowną, z miłością bezkresną śpiewał jej smutny, pogrobowy syn.

Rozpamiętywał dni jej chwały przeszłej i na swych kartach te dni świetne wskrzeszał, łkał nad nieszczęsnym losem Męczennicy i w czarną rozpacz na myśl o nim wpadał, tęsknił i marzył o jej wielkim Jutrze, o dostojenstwie jej roli w przyszłości, to znowu szalał, chłostał i przeklinał za jej przewiny, co pod stopą synów taką otchłanną otworzyły przepaść, to wreszcie, pewny jej zmartwychpowstania i jej tryumfu i zwycięstw za grobem, rzucał na papier postać Wyzwolonej, gotów na serca ofiarę najkrwawszą, — słowem: — jak człowiek, co kocha nad życie i straty swojej przeboleć nie może, przechodził całą grę wrzących uczuć, z umiłowania i bólu płynących.

Nie sprzeniewierzył się świętości nigdy, na chwilę z ócz jej ni myśli nie stracił i nawet ówdzie, pod rozkosznym niebem krainy włoskiej i cichej Hellady, nawet na widok ich piękności boskiej, smutek tuż przy nim zawsze, jak cień, stawa i ściga ciąglem, straszne, bezlitosne:

....„I w takiej ziemi być, — i bez ojczyzny!....“

Najdroższe sercu są też wszystkie strofy, które tej wielkiej miłości poświęcił, — i te, co łkały tęsknotą tułacza, i te, co grzmiały i w rozpacz nagłej szalały krzykiem gniewu i wzburzeniem, w improwizacji zwłaszczą, pełnej łun, jaką w obliczu grobowca Atrydy pierś mu wezbrała z bezprzykładną siłą.

Namiętna miłość dyktowała słowa, co jak bicz cięży a szlochały z bólu i dzikie

...,Sięgnę do trzew — i zatargam!...”

— wymowniej świadczy o rozpaczy syna, niżli niejedno tkliwe zapewnienie o przywiązaniu, miłości i czci.

Pytał więc starych, poważnych piramid, zali nie mają takich trun i łzawnic, by w nie łązy nasze i tęsknice zlać i w zamyśleniu gorzkim słał westchnienie:

...,Tak więc: — to los mój na grobowcach siadać...“;

lecz pełen wiary w moc narodu swego, wołał za chwilę, podniesiony duchem:

...,A jednak pod tym mogił chwastem, plewem,
Jest jakieś dziwne, ciągle, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło...“

I aby rozgrzać serca i ostalić, bowiem „pieśń z kajdan iskry wydobywa“, wołał ku swoim pełnym, grzmiącym głosem:

...,Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły,
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec,
Gardzący śmiercią wzrok, — życia rumieniec...“

Częściej jednakże, party wichrem trwogi, w rozdzierający, czarny wpadał smutek i wówczas szeptał głucho:

...,Stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słyszać...“

i powrót mając na zawsze odcięty, taką bolesną słał z obczyzny pieśń:

— „Ojczyzno moja! Może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzuca
Na kamienistej drodze życia, — płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej,
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiąca boleśniej,
Niż gród Chrystusa!... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę...”

Ze smutku tego i rozpamiętywań jeden ton zwłaszcza wpija się na zawsze w serce Polaka a jest nim nostalgia, wysysająca życie z Anhellego, gdy wychodziła zeń błękitna dusza, by iść gościńcem fal do „ziemi krzyżów“ z obcej i zimnej krainy wygnania, w której rozbitki z bólem „umierali, mówiąc: Ojczyzno, Ojczyzno!...”

Spełniony jednak obowiązek syna serce poecie opancerzał męstwem, stąd w „testamencie“ swym unieśmiertelnił swą miłość czystą i ofiarę cichą:

...„Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Zem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę”...

Albo uciekał w kraj przeszłości jasnej, aby zapamiętać, nie czuć, stracić z oczu i wtedy kreślił wspaniałe utwory na rycerskości osnuwane chrobrej, a rozumiejąc, czym jest pieśń o dawnym, słonecznym Wczoraj dla narodu w męce, modlił się Panu, aby mu pozwolił godnie opiewać wielkie serca przodków i na potomnych pamięć dał zarobić:

...„Pozwól o Panie! niechajże ja w sobie
Odczuję ludzi tych wielkich uczucie,
I niechaj rymem maleńkim zarobię
Pomiędzy nimi na pośmiertne życie,
Jako kwiateczek, co jest ku ozdobie
Grobu a niebo ma w liści błękitnie,
A świat ku niemu cały jest miłośnie,
Dlatego tylko, że przy grobie rośnie...”

Pod względem ducha, formy i natchnienia są to utwory tak przedziwnie piękne, że jedno z pierwszych muszą zająć miejsc w rzędzie lirycznych arcydzieł oczyszczonych.

Najczystszy liryzm przepaja też zwrotki, cuda natury z zachwytem wielbiące, bo mało wielkich geniuszów świata umiało czytać tak w księdze przyrody niewysłowione piękno, mądrość Bożą, jak autor Lilli Wenedy.

Ze stanowiska panteisty patrząc na najdrobniejsze istnienie na ziemi, we wszystkim widząc cząstkę Przedwiecznego a z końcem życia wierząc niezachwianie

w metempsychozę i ciał ewolucję, słyszał poeta najcichszy dreszcz kwiatu, każde wzruszenie i westchnienie drzew, bo z wszystkich ziemskich tworów miał się z czasem wyłonić wyższy, doskonalszy kształt.

Już od dzieciństwa tak się zaśluchiwał w szepty i drgnienia, utajone w ziemi, w kipiące życie przyrody ojczyściej a w dniach tułaczki z tą samą miłością chłonał bogactwo Piękna w ziemi wschodniej.

Na ławie szkolnej obaj z przyjacielem, jak temu wyraz dał w *Godzinie myśli*

....„Wiosną wśród szmeru nauk myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów...”

własne wzruszenia jego drżą też w słowach:

....„Tak noc przeleżał bezsenny — i słyszał,
Jak brzozy o czymś tajemnem szeptały,
Jak się las cały, by czarem uciszał
I pod księżycem stał spokojny, biały; —
Potem znów wiatrem jutrenki zadyszał
I śpiewem ptasząt rannym zagrał cały,
I na zorzowych każda brzoza łunach,
Była, jak harfa o stu złotych strunach...”

Wręcz pastelami najdelikatniejszymi są wszystkie jego krajobrazy jasne, źródło najsekretniejszych upojen serdecznych, jakich doświadczył w swoim smutnem życiu, przez pryzmat łez zachwycenia patrzy też na nie, patrzy tak miłośnie, że z pośród wszystkich naszych wielkich twórców, on dał poezji najwięcej pejzażów w słowach, gdzie każdy dźwięk jest najcudniejszą melodyą czułej i wrażliwej duszy.

Oto pamiętna symfonia alpejska:

...„Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
 Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
 I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
 I ciszej źródła po murawach dyszą;
 Jakby ta gwiazda miała coś nakazać
 I o czemś cichem pomówić ze światem,
 Z każdym słowikiem, z listeczkim i z kwiatem.
 Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
 Wychodzi błądy pierścionek Dyanny:
 Wszystkie się wtedy słowiki rozjęczą,
 I wszystkie liście na drzewach zabręczą,
 I wszystkie źródła jęk wydają szklanny:
 — O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
 Jeśli coś mają przebaczyć, — przebaczą;
 Jeżeli o czem zapomnieć, — zapomną...“

A oto znowu taki nastrój rzewny, ucieleśnienie własnych stanów ducha, z którymi w takiej harmonii przedziwnej jest melancholia starej ziemi greckiej:

...„Tu po kamieniach z pracowną Arachną
 Kłóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo;
 Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
 Tu wiatr obiegłszy górę ruin siwą,
 Napędza nasion kwiatów, — a te puchy
 Chodzą i w grobie latają, jak duchy.
 Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie,
 Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
 Jakby mi chciały nakazać milczenie,
 Sykają...
 Zerwałem jeden liść z czarnego kuszca —
 Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
 Ani w gałązkach jęknęło widziadło;

Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło słońce i do nóg mi padło.
Zrazu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera..."

Wabnym swym wdziękiem, pieśczętą swych tchnień
koіła obca przyroda artystę, cudne mu zawsze zwie-
rzając wyznania, lecz nad królewski jej przepych i blask
przekładał piękność swojej macierzystej, gdzie wiatr
zawodzi smutnie a pierś ziemi ciężkiem westchnieniem
sieroctwa się wznosi.

Więc rozkoszował się pałacem słońcem bogatych
w skarby przyrodzone krain, gdzie

...„przed skwarną pieką,
Wiecznie nas skryją z mgły uwiane drzewa..."

— gdzie

„Inne słońce lśni ponad krainą
I inny księżyc srebrzysty jaśnieje;
Jak eter czyste wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe —
A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje...."

lecz sercem nawet wśród takich upojeń upadał w my-
ślach na łono swej ziemi, bo chociaż

.....„widział Chrystusa oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolał — i sądził najpiękniejszą z krajów,
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów,
Pełną łąk jasných, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia, pełną sosen, kalin, jodeł, —

Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzozy jasnych są kochanką źródeł...

Tak mimozową naturę poety upajał odor kwiatów i woń ziemi, to też przyrodę kochał wprost namiętnie i w cudnych wierszach malował jej piękno. Do najszcześniejszych liczą się dlań chwile, w których obcuje sam-na-sam z naturą, aż przyjdzie pora, że filozof-mystyk uczci w niej każdy najniklejszy kształt jako krok ważny, jako szczebel niższy ucłowieczenia wszystkiego, nim spłynie w jedno z Przedwiecznym, źródłem wszystkich jestestw.

I będzie wówczas słyszał, jak kwiat wąły modli się Bogu o skrzydła motyle, wtedy uczuwszy woń róży, zapomni w żądz odurzeniu swej natury ludzkiej, w skałach dostrzeże „ducha jako posąg doskonałej piękności ale już przygotowany na człowieczeństwo formy“, a w ukraińskiej wdowie, płacze-brzozie ukocha siostrę, ludzkich pełną kształtów po wiekach w niej się objawić mających.

Wszędzie też rzewna uczuciowość duszy najsubtelniejszej, jaka żyła kiedy, we wszystkich pieśniach o przyrodzie dzwoni najrzadszy, lekki jak muzyka liryzm.

I jeszcze parę uczuć gorejących, trzy najrzewniejsze, najpięściwsze tony w wielkiej poezji twórcy Anhellego: — cześć względem matki, oddanie się sercem przyjacielowi i najbielsze z uczuć, jakie na dnie swem

mógł kołysać jeno taki świetlany i tak czysty duch, a imię jego: — bezcielesna miłość do ukochanej, wybranej niewiasty.

Matka to świętość poety najdroższa, najwyższe dobro i radość na ziemi. Każdem też słowem modli się z oddali do ukochanej słowami, nad które trudno w poezji coś tkliwszego znaleźć.

I bohaterki swe najulubiensze chrzcili ukochanem imieniem matczynem i swą tęsknotę jej wspomnieniem koił i w ciepłych dziecka oddanego strofach o przebaczenie błagał, że nie wraca, że ją porzucił i zostawił w łzach, jak tego ślicznym wyrazem jest wiersz, jeden z najbardziej smutnych, jakie stworzył:

— „Zadrzy ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych:
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.
Wiem, że wróceniem mojem lat-bym ci przysporzył;
Wszakże gdy cię spytają, czy twój syn powraca,
Mów: syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie, — oczy tylko zwraca,
Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzaniem tobie smutek swój tłumaczy;
Lecz woli tutaj konać, niż iść na obrozę,
Bo woli zamiast hańby, pić czarę rozpaczyl
Przebac-że mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepścił i tak zaczęścił;
Przebac... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Musiałby, — toby ciebie pewno nie opuścił“.

A zaś najczulsze dziękczynienie duszy, najserdeczniejsze: „kocham!“ tego syna i najpłynniejsza melodia słów, — to wstrząsająca do dna, wzruszająca, jak mało wierszy egotycznych w Polsce, pieśń ukochania, w której taka gorycz i tyle łez się niewyłkanych tai, że wespół z serdecznymi listami poety wiersz ten najbardziej serce doń przykuwa:

...„Do ciebie, matko moja, twarz obróć,
Do ciebie znowu tak, jak anioł biały
Z obłądnych krajów położyć się wróć
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej...
Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który myśląc oczy mruży, —
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia Bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twymi żywy,
Jak Chrystusowe w ogroju oliwy.
Z błogostawieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje, tam, gdzie same głązy,
I słyszać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschilowskimi budzone wyrazy,
Echa słyszały twoje święte Imię,
I słyszał je on laurów las, co drzemie.
I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości

I woła głosem rycerskim mogiła
 O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
 Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
 Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.
 W Romie podobny głos twemu głosowi
 Słyszałem: anioł życia zadrzał we mnie!
 Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
 Pokazywali świecącą przyjemnie
 W gwiazdach, tam, gdzie był żłóbek Chrystusowi,
 I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
 Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
 I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!
 Wszędzie miłosne twoje oddychanie
 Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
 W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
 Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
 Moje twych biednych stóp pocałowanie,
 Bo łez nie słyszał...“

Obok tych rzewnych strof wdzięcznego syna godne są stanąć pozdrowienia druha, ofiarowania na ołtarz przyjaźni niesione z szczerem przywiązaniem brata.

Serdeczne, ciche wspomnienia z dzieciństwa w lirycznym pamiętniku duszy przezeń uwiecznione i dwa przepiękne poematy prozą, którymi autor Ojca zadżumionych poprzedził pełne fantazyi tragedye na praoczystych motywach oparte, *Lillę Wenedę* oraz *Balladynę*, — świadczą o jego oddaniu się bratniem, odzwierciedlają piękno jego duszy a dla poezyi mają to znaczenie, że pulsujące w nich uczucia twórcy i że

obrazy na ich tło rzucone, w najkunsztowniejszą są ujęte formę.

Ból dojmujący, że się wśród tysięcy tego jednego ma, który rozumie i niewymowna wdzięczność za to drogie, jedyne w świecie odczucie artysty a obok tego ten obraz harfiarza i pomysł skutych przyjaźnią Wenedów i melodyjność mowy, najpiękniejszej, jaką pisano u nas kiedykolwiek: — oto, co czyni z tych nie-twórczych rzeczy, z owych wynurzeń czysto osobistych, jeden z najrzadszych klejnotów poezyi.

I nawet nagłe ostudzenie uczuć, nawet to rozluźnienie wzajemnych stosunków, jakie między oboma wielkimi duchami nastąpiło wkrótce, nawet ono ma wielkie prawo do wdzięczności, jest bowiem źródłem dwóch niezapomnianych w dziedzinie naszej liryki arcydzieł, Psalmu miłości i, co nas głównie w tem miejscu obchodzi, nieporównanej odpowiedzi nań.

I wzniosłość górna i siła niezłomna i twarda wiara i wdzięk upojenia i sarkazm ostry i modlitwa łzawa, — wszystko tu tętni i zlewa się z sobą, tworząc z tych sprzecznych i rozbieżnych tonów najdoskonalszą i pełną harmonię.

Ze względu na swą kunsztowność wykwintną, na swą — jak mówił Krasiński — „przedziwność“ — wiersz ten należy do najznakomitszych, jakie się kiedy w Polsce pojawiły.

W rzędzie ich stają i te arcydzieła, które natchnęła miłość do niewiasty.

Niepokalana białość, bezcielesność i bezprzykładna czystość ukochania cechuje wszystkie utwory tej grupy.

.....„I oto mówię, że piękność kobiety
 Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
 Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!
 Lub sama przez się robić, lub się w drugą
 Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą,
 Zaczepną bronią w rękę i kolczugą
 Sercu, i słońcem, które świeci nocą,
 I panią razem i razem być sługą,
 I nawet w świecie aniołów — pomocą;
 Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
 A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć!.....“

Od młodocianych dni żywiąc uczucie, pełne czci
 rzewnej a takie błękitne, że ni na chwilę zmysłów nie
 wzburzyło, wiernym pozostał poeta do końca swej uko-
 chanej wybrance z przed lat.

I jak w nim ongi

.....„Dusza dziecięcia, jako karta biała,
 Czerniła się na wieki miłością daremną....“

tak przez życie niósł całe ten smutek i miłość niepo-
 dzieloną, zawodną i biedną a ciągle duszy widną i przy-
 tomną i szept bolesny z niej dobywającą

.....— „Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski, co
 się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust
 koralowych, choć byłem blisko; jak gołąb, mówię, sie-
 dzący na ramieniu dziewczyny“... — skarży się cicho
 Anhelli.

Stałość — to piękny rys miłości jego.

...„Kochanko pierwszych dni! — znów jestem twoim.
 Patrzaj! powracam bez serca i sławy,
 Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
 O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy
 I ma na piersi rubinowe pierze.
 — Jam czystyl...
 Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
 Na twoje włosy kładła jarzębina, —
 Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
 Które daleka odnosi kraina;
 I w pieśń się patrzaj tę — co jest z opalów,
 A więcej kocha ludzi, niż przeklina,
 I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
 Ja — co przebiegłszy świat — kochałem jedną...
 ...Twoje oczy patrzą na mnie — takie smutne —
 Bądź zdrowa! drugi raz się cud powtórzy —
 Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
 Kiedy ty przyjdiesz do zbielełej róży
 Podobna, zasnąc... Dosyć! Pieśń skończona!
 Oko się moje senne łzami mruży,
 Róże uwiedły — czara wychylona,
 I pieśń gdzieś leci odemnie echowa...
 — Już pożegnałem cię, — jeszcze bądź zdrowa!...“

Kochanie twórcy *Nowej Dejaniry*, to ucieszenie
 żądz i upojenie duszy natchnionej, dziewiczej i czy-
 stej, — ukaja ono, uduchawia, krzepi, chrzyżmem świę-
 tości namaszcza anielskiej, w ekstazę cichą grąży i pieśń
 rodzi, taką subtelną, zwiewną, nieujęta, że powietrznos-
 ścią owiana dziewczyna zda się być raczej cieniem, niż
 ziemianką.

Zdawałoby się, że najmniejszym słowom nie oddać
 tego nastroju, tych drzeń, że każdy wyraz nadto jest

Od serca mi jej tyle wiało woni
 I tyle światła, że mi dziś słoneczniej —
 Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
 Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.
 Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga;
 Ona umarła już. Jest częścią Boga,
 Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
 Wieczności, wiedzą wszystkiego. — O, dosyć!
 Niech resztę grobu cyprysy ochylą...“

W magnackiej wszakże puściźnie poety najznamienniejsze są te zwłaszcza karty, które poświęcił swym marzeniom cichym i nieuchwytnym widzeniom swej duszy.

W przepych barw stroi poeta te wiersze, pieści się nimi z miłością bez granic, rozrzuca szczerze po wszystkich swych dziełach; w nich jego świetność, odmienność od innych, w nich genialność wszystka i znaczenie.

Od lat najmłodszych uciekał w świat rojeń, zrażony zimną powszedniością życia,

...„Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
 Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...“

Cudne, upojeń pełne sny na jawie, to jego jasny, ukochany świat, gdzie się rozwiewa ból, usypia smutek, gdzie się ukaja tęsknota i żal a te sny lotne, mimo swą powietrzność, w takich plastycznych jawią mu się kształtach, że łudzą zmysły prawdą swą i życiem, dotykał-

nymi stają się w swych liniach, choć z bezprzykładnie
bujnej wyobraźni zrodziły się w dniach natchnienia.

....„O! tęczowa
Kopuło myśli, tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wiszącym aniołem!...“

Kto raz obcował z pieśniarzem Wenedów, musiał
w „kościelach“ tym stanąć z podziwem, bo o odmalowa-
nie żywsze zwiewnych wizji darmo-by kusił się niejeden
mistrz, niejeden nawet z najgłośniejszych twórców.

Miał też rzec prawo:

.....„Zamykam oczy i widzę i piszę,
Co widzę....“

bo jeden z bardzo nielicznych w poezyi

.....„Marzenia stroił czarnoksiężką szatą,
A potem silną wolą rzucał je przed siebie,
I stawały, — i widział przed sobą obrazy....“

jakże

„Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę,
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta....“,

one mu są osłoda w gorzkich dniach zawodu, nie-
szczęścia, bólu, cierpienia i zwątpienia.

Szczęśliwy, który wówczas

.....„wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie, —
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby
I kładła się, jak tęcza, na książ białej karcie....“

A życiowe przejścia naszego poety, to pasmo żalu i smutku.

— „O Melancholio! Nimfo, skąd ty rodem?”

pytał boleśnie w godzinach zgębienia.

„...Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności...”

Oto podłoże jego krwawych smutków.

Spadły z obłoków, wyrzucony z gniazda, nierozumiany i odosobniony, doświadcza takich uczuć, jak to ptaszę, co żyć pragnęło i pragnęło górnice a oto nagle śmierć pragnienia dławi.

„...Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka
Bez pierza, mały, zimny trupek, — lichy:
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy,
Prosto do gniazda, do swojego kąta
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,
Wyszli oboje, — Boże, z jaką wrzawą?!
Wie matka, której ludzkie dziecko skradli...
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą —
Oboje z nieba, jak martwi upadli,
Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy niem a skrzydła tak kładli
I tak włóczyli biedaczki za sobą,
Jak płaczki ciężką okryte żałobą.
Lecz śmierć ptaszęcia taka była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą

Niebios, że ojciec matce niedowierza —
 Oboje w dzióbek żer mu jeszcze kładą,
 Dzióbkami ciątka próbują i pierza.
 A ono z główką wyciągniętą, bladą,
 Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
 Leży, jak srebrny na herbie orzełek.
 Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
 O! długie, piękne serc tych niepokoje,
 O, cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
 Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
 I wyżej niż ta brzoza, nimfa sielska,
 Rozrzuca swoje girlandowe zwoje,
 Podnieśli... myśląc, że w niem lot roznieci
 Życie, że z dzióbków puszczone... polecil
 Tak połączone przez biały dyjament
 Stało nade mną w niebie biedne stadło, —
 Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
 Bo upuścili dziecko... a to spadło;
 A oni siedli nad niem znów i lament
 Taki podnieśli, że mi lice bladło,
 Serce bolało, tak, jak dzisiaj boli,
 Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli..."

Tak czuje boleść biednej matki ptaszej ten, który widział już nie taką rozpacz, nie takie matek obłąkanie z żalu.

Poeta smutku.

Najrzewniej jednak, wręcz rozdzierająco przemawia ton ów z wiersza prostej wiary, pośród bezkresu morza wyłkanego, z rozrzewniającej zwłaszcza do łez strofy:

...„Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
 Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
 Przy blaskach gromu,

Ze nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi Boże!..“

— „Żem prawie nie znał...“ Ból bezdomności prościej a wymowniej już do serc ludzkich przemówić nie może.

Nic też dziwnego, że od ziemskich trosk odrywał oczy przemocą i szukał uspokojenia w świecie wyobraźni.

Z pod pióra wówczas płynęły obrazy, których on jeden śmiał się tknąć bezkarnie: — niepokalana postać Bożej Matki, z łzy Chrystusowej urodzona Eloë, Lilla, Goplana, szczęście złudnych uczuć wpobok samotnej kaplicy tellowskiej, — z drugiej zaś strony, sam do cna zboleły, umiał się w cudzą boleść wczuć, jak brat, boleć w prześlicznych ustępach lirycznych nad umęczeniem Polski na Sybirze, nad biednym ojcem, co potracił dzieci, nad beznadziejną dolą syna zdrajcy i konającym ludem wenedowym.

Smutek zaś jego potęgował chłód, jaki za wielkie i natchnione dzieła dawał w udziale autorowi świat, ten obojętny, zimny i wzgardliwy, o którym myśląc, poeta zapadał w tem bezdenniejszy smutek a na usta rwało się:

....„Gdzie są słuchacze?“

....„Nieraz kiedy mi zakracze
Orzeł, lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia,
Znów odlatuje ode mnie — ostatnia...“

Wytworna i pod względem formalnego piękna jednej na sobie zmayı nie nosząca, poezya twórcy *Mazepy* kocha się przede wszystkim w tem, co niepowszednie, uderzające siłą i ogromem.

Ileż taktu artystycznego zachować musi poeta, by tam, gdzie przy nieudolności twórczej może powstać tylko rzecz straszna, utrzymać właściwą miarę i piękna niczem nie skazić, lecz owszem wzmódz je i wzniecić. Poemat osiąga wówczas szczególną cechę piękności, staje się „wzniosłym“ czy „szczytnym“.

Taką jest twórczość śpiewaka Wenedów.

Wzniosłem jest znane *credo* Słowackiego, ów Bóg, przed którym poeta się korzy, wzniosłą jest krwawa, przeraźliwa powieść z ust męczennicy-Makryny płynąca, wzniosłym sierocy Arab, gdy miast kłąć, kaja się Panu i pokłony bije, szczytne jest każde słowo orlej Rozy, każde uczucie wielkie Króla-Ducha, każdy gest, wyraz i moc Księdza Marka.

Na wielu kartach dzieł wielkiego twórcy uderza ton ten, ten pęd najgórnieszy, na jaki zdobyć się duch twórczy może, — sam sobie z tego jasną zdaje sprawę i woła, pewny swej potęgi wieszczej:

....„Jak duch trumny,
Smutkiem dumny,
Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.
...Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie

Mógł grzędy;
 Gdzie chmur droga,
 Z wichrem Boga,
 Mnie tamtędy!...”

Nie koi przeto serca czytelnika miękkością tylko i harmonią tonów, ale ogromem swych obrazów wzniosłych, niepowszedniością i potęgą uczuć tak go przybija, tak w nim krew wręcz ścina, że pod obuchem twardych słów poety, człowiek się nędznym uczuwa i trwożnym, Nie przeraźliwość to wszakże, śmierć piękna. Bo kiedy przeszedł pierwszy dreszcz przerażeń, kiedy się w obraz twórcy wpatrzeć śmielej, znika i lęk ten wszystek i niepokój a duszę zachwyty owłada najczystszy, tyle pod ostrą grą wyrazów piękna.

Niepodzielna to poety własność, — trwożyć sobą a przykuwać razem, ubezwładniać a za chwilę kazać wielbić artyzm przeraźliwych scen; — krok już dalej a potężny obraz wstręt-by budził, — przeciągnięcie struny najdrobniejsze nawet i nieznaczące, — a sierocy „ojciec zadżumionych“, jużby tylko niesmak budził przykry przez nużącą jednostajność skarg. Artystyczny zmysł poety grozy umie stanąć nad samą granicą, kędy pięknu kres naznacza sztuka i o włos jej nigdy nie przekroczyć.

W osobistych spowiedziach lirycznych, w uczuciowych fantazyach twórczych ten sam wzniosły, niezmacony ton. Czuć go w wierszu do autora *P s a l m ó w*, z wulkanicznych tchnie inwektyw *G r o b u*, szczyt tryumfu święci w *K r ó l u - D u c h u*.

W wyższy lot się wzbić poezji trudno.

A ten sam duch, ten sam geniusz wlotów, umie z lutni swej dobywać dźwięki, ponad które niema lżejszych wdziękiem. Twórca szczytnej postaci Jehowy, malarz krwawych obrazów z dni barskich, potrafi tyle miękkości zlać w słowa, tak delikatną stworzyć z nich melodyę, że wszechstronność ta zdumiewa bardziej, niż posągowość jego wnioskłych scen.

Wdzięk ten niewieści rozsiały jest wszędzie. Tchnie z zadumy polnej w Ukrainie, z cudnych marzeń gołębiczy-Lilli, z eterycznej nimfy nadgoplańskiej, z wichrowego polotu Swentyny, z miłosnego listu starościanki, nadewszystko zaś z szwajcarskich wspomnień, z najpiękniejszej pieśni o kochaniu.

....Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
 Smutniejsza, cichsza i bielsza i bledsza.
 W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
 A obrywała róże na strumieniach,
 Albo przy kaskad naciągniętej lutni
 Stawała słuchać tak, jak ludzie smutni,
 Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
 Ręce na białą zakładała szyję,
 Jak ta, co boi się albo się broni.
 Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
 Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
 Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
 I jaskółeczek utraciła zwinność
 I zadumała ją całą niewinność..."

Ten ton ekstazy upojnej i słodkiej przechodzi nie-
 raz w równie miękkie brzmienie, któremu rzewność ser-
 deczna na imię.

Drga ona w smutnem do dna Rozłączeniu, we wzruszającym do łez heroizmie dręczonych mniszek, owieczek Makryny, łka w cichej śmierci „siostry“ Anhellego, wzrusza do głębi w tragedyi z El Arish.

— „Cierpieć?“ — wypada z bladych ust męczennic, z rzewnością, której z trudem znaleźć równą.

...„Cierpieć? My cierpieć byliśmy łakome.
Z głodu umierać? — A cóż, gdy pod płótem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz zgłodzony, kaleka,
A psi go tylko sami głodni strzegą...
— Umierać? Cóż my jak żebrak lepszego?..

Kto czytał słowa te proste a mężne, musiał z serdecznym smutkiem wraz z poetą w stronę najstarszej z tych kapłanek szeptać bolesne, drżące od łez: — „O Matrono!“

A wzruszająca scena na pustyni, gdy nad rozbitkiem lituje się — zwierzę!

...„I raz — ach, boska nademną opieką!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda
I ach! — nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda,
Spojrzał — i spojrzal z twarzą tak litośną,
Że rozplakałem się jak dziecko głośno...“

A nie tu jeszcze koniec skali uczuć, jakie pod sercem poety się rodzą.

Jak każdy, bardzo wrażliwy artysta, ma i Słowacki na swej lutni struny, niefrasobliwym humorem dzwoniące, rozkołysane w ostry takt ironii.

Na tle rapsody barskiej, tuż z nią w parze, idzie pieśń druga, porachunek z światem, wesołość gromka, sarkazm bezlitosny, gryzący wroga do krwi i miażdżący.

Najczęściej krytyk, zoil nienawistny, bywa tu przez pęk strasznych różg pędzony. Ironia twórcy *Nowej Dejaniry*, to albo lekki półuśmiech bliźniego, pełen serdecznej sympatii dla tych, co się z rodziny *Fantazych* wywodzą, albo też taki jadowity śmiech, takie bezwzględne darcie pasów z wroga, że śmiertelniejszych i bardziej godzących pocisków nie znaleźć w dłoni żadnego pisarza.

Powszechnie znane to strofy w *Beniowskim*.

Ów zaś wykwintny humor wirtuoza, na słów i rymów oparty igraszce, olśniewa swoją lotnością przedziwną, werwą, zdumiewającą u poety smutku, opanowaniem formy bezprzykładnem. O władztwie nad nią niech zaświadczy bodaj na chybi-trafi wyrwany wyjątek:

.....Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazała przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią.
(O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałosne łyż nade mną ronią,
Bo muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz piszący poemat oktawą)...“

Najrozlewniejszy liryzm płynie wreszcie z wszystkich piękniejszych scen w utworach wieszczów oraz z kreacyi, na ich tło rzuconych.

Bogactwem uczuć, wzruszeń i nastrojów przenosi wszystkie utwory Anhelli.

Każdy tu obraz wre żarem miłości, piekłem rozpaczy, melancholią duszy, jako liść od pnia swego oderwanej, bez dna tęskniacej i na ołtarz Sprawy kładnącej wszystek swój ból jednostkowy. Spełnić do kropli ten kielich gorczy, jaki straszliwe do ust niesie życie, zajrzeć w twarz każdej męce i cierpieniu, wszystkie w pierś własną wziąć i zamknąć w sobie, zrobić ofiarę cichą z serca swego po to, by duszą tak wyblękitnioną wyjednać swojej świętej Męczennicy łaskę wskrześnięcia i prawo żywota: — oto, czem żyje przesmutny Anhelli.

A wobec tego długi szereg scen uderzać musi w takiej krwawej pieśni niewysłowioną rzewnością nastrojów.

I jest, przemawia z każdego „rozdziału“, czy gdy widzimy w tej Gehennie mąk starca, mrącego od uderzeń synów, czy gdy na Eloë przez łyzy wzrok nasz padnie, czy gdy stajemy olśnieni i drżący przed wywołaną z ciała bohatera, jego anielską, liliową duszą:

...„I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch, mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach. A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła. I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlokąc po niej końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdygnął się, lecz posłuchał.

— Cóż, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja będąc wolną? ...Oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżycy i uciekała w tamtą stronę jak człowiek, co cię spieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się, zaczął płakać mówiąc: oto chciała powrócić do ojczyzny..."

A równie silnie działa na nas obraz, na elemencie lirycznym oparty, — przedśmiertna chwila cichej pokutnicy, w godzinie zgonu tak wyanielonej i wybielonej nad śnieg tej krainy, w której jej winę okupywać przyszło, że tylko pędzel takiego artysty, jakim był wielki twórca *Kordyana*, mógł się bezkarnie dotknąć tej rzewności i tak ją lekko w żywe zakląć słowo.

Gasnąca cicho pod złocisty blask zachodzącego słońca *Ellenai*, smutna, jak gwiazda na jej włosach, *Eloe*, niepokalany, życiem zaświatowem raczej niż ziemskim żyjący *Anhelli*: — to inkarnacye tkliwych uczuć twórcy, kreacye z jasnych utkane promieni wzruszeń i westchnień poety-wygnança.

Nie opisowo i nie dramatycznie traktuje je w dziele *Słowacki*, — on je przelśniewa blaskiem swych zamyśleń, zlewa w nie wszystkie czar swego marzenia i szczero-polskie uczucia serdeczne, — i urastają pod natchnionem piórem najliryczniejsze twory wyobraźni, jakie poezya świata kiedy miała, podbijające nie czynem i słowem, ale bezmiarem uczuć, którym tchną.

wają głównie i w sytuacjach znachodzą się takich, które nietyle swą dramatycznością, ile liryzmem wrażają się w pamięć.

Obok tragicznych scen w najwyższym stylu, *Kordyan* takich uczuciowych miejsc ma cały poczet a wszystkie należą do najwspanialszych ustępów tragedyi, żeby tu jeno potężną uczuciem scenę z widmami u cara przypomnieć. *Lilla Weneda* przez te sytuacje staje się taką drogą polskim sercom, w których się miłość odzwierciedla twórcy do ginącego narodu szlachetnych i przez te, w których obie bohaterki uczuciem płoną jak znicz gorejącem, jedna dla swego królewskiego ojca, druga dla sprawy narodu przeświętej. W *Horsztyńskim* tyle klejnotów liryzmu, że nie zapomnieć scen *Amelii* z bratem, ociemniałego starca z młodą żoną ani serdecznych wewnętrznych walk *Szczęsnego*, a zaś *Mazepie* odjąć pojedynek, rzewną opowieść pazia albo moment, w którym się *Zbigniew* żegna z ukochaną a ostałaby jeno krwawość zdarzeń, przerażających grozą okrucieństwa i wręcz nieznośnym czyniłaby dramat, wyzuty z tamtych, świetlanych piękności. Bez rozkośznego i czarodziejskiego snu *nocy letniej* wreszcie w *Balladynie* i bez serdecznej młodszej córki *Wdowy*, jakżeby zimnym i obcym był utwór baśń *Popielową* dramatyzujący! A już wręcz słabym, poronionym płodem byłby *Fantazy* bez dwojga artystów, z których na całość sztuki, nie dość zwartą, idzie wdzięk wszystek i piękno utworu.

Tak na szczytnego tragika polskiego wpływał mi-

strzowski, nieśmiertelny liryk, łagodził jego ponure pomysły, w niewysłowiony osnuwając wdzięk najprzeróżliwsze nawet poematy. W tem właśnie wielkość twórcy Anhellego, że tragik nigdy aż do Księdza Marka i Snu srebrnego Salomei włącznie, nie brał bezwzględnie góry nad pieśniarzem, że z geniuszem tragicznym pospołu szedł w wieszczu polskim geniusz liryczny.

Liryzm poety Wenedów objawić się musiał i w formie. Artysta tak nadwrażliwy, natura tak mimozowa, poeta marzeń i wizyi, musiał szczególnym kultem i miłością otoczyć ten subtelny, najtrudniejszy do owładnięcia czynnik prawdziwej poezyi. To też przed wystąpieniem wirtuoza formy, poezya polska, plastyczna i jędra, takiej wspaniałej oprawy nie miała, w jaką ją stroić począł on dopiero.

Język niepokalany, lśniący wszystkimi kolorami tęczy, rzutki i zwrotny tak, że każdy atom najniklejszego z wzruszeń i nastrojów, pełny, właściwy a zawsze wykwentny znajdzie w nim wyraz i ucieleśnienie, bujność porównań rzadkich i wytwornych, forma wierszowa o przedziwnym wdzięku i zestrojona z treścią poematu przez największego estety polskiego, o kryształowej zaiste czystości, stylizowana archaicznie w dziełach na bohaterskiej osnutych przeszłości a delikatna jak kwiat ciepłarniany w cudnych wylewach poety lirycznych, kolorystyka natchnionego słowa, niezwykle świeża, soczysta i żywa, łańcuch melodyjnej rytmiki stroficznej,

Potem w promieniach ją pokazać złotą,
 Potem nadętą dawnych przodków pychę,
 Potem ją utkać Arachny robotą,
 Potem ulepić z błota, jak pod strychą
 Gniazdo jaskółcze, przybite do drzewa,
 Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa..."

Wszystko to objął swą twórczością zbożną, jest w niej albowiem i „giętkość“ języka, o jaką nikt się przed nim nie pokusił, jest „piorun“ grzmiących strof, co przybijają samą lawiną druzgocących słów, jest zadumanie pod blask księżycowy i zamyślenie słoneczne a smutne na ukraińskim stepie nieobeszłym, jest cicha skarga, jest tęsknota syna odartej z swego dostojęstwa ziemi, jest zamaszystość pra-polska i swojskość, pełna „jaskółczej“, zaprawdę, prostoty, — a zdawał sobie natchniony wieszcz sprawę z genialności swojej i z swych zasług, gdy mówił z wniosłem poczuciem swej siły:

....do wiersza mam, jak sądzę, prawo,
 Sam rym się do mnie miłośnie nagina,
 Oktawa pieści, kocha mię sestyna.
 Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
 Mogły stać nagle indywiduami,
 Gdyby ojczyzną był język i mowa:
 Posągby mój stał, stworzony głoskami,
 Z napisem: „patri patriae“. — Jest to nowa
 Krytyka. — Stój! Ten posąg błyska skrami,
 Spogląda z góry na wszystkie języki,
 Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki.
 Otocz go lasem cyprysów modrzewi,
 On się rozjęczy, jak harfa Eola,
 W różę się same jak Dryada wdrzewi,

prostotą we wysłowieniu opowieść Araba oraz W Szwajcaryi, najmelodyjniejszy może ze wszystkich poematów świata. Obok prostoty pierwszej, jakąż jednak precyzja w architektonice i mistrzostwie wiersza, nie mówiąc już o intuicji, wręcz zdumiewającej, z jaką poeta wczuł się w duszę „ojca“. Bo może nigdy większy wał trudności nie piął się przed artystą, jak przy tworzeniu tego arcydzieła, w którym prostota jest wyrafinowaniem niemal, sprawiającem, że utwór w duszę, aż na dno się wżera. Te urywania zdań, co już nie mogą przejść przez krtań dłonią rozpaczki zdławioną, te przejmujące dreszczem zgony dzieci, wzniosła modlitwa i odbrzmiewający ponurem echem w sercu czytelnika refren o nowych, długich dniach czterdziestu, wszystko w właściwym utrzymaniu tonie i ani razu nie naruszające granic piękności, wytyczonych sztuce, to może jeden z najlepszych dowodów, jakim artystą, jakim mistrzem słowa był nieśmiertelny piewca mąk sybirskich.

A pierwszy lepszy cytat z poematu najidealniej pojętej miłości przekona o tem po stokroć wymowniej:

...„W Szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
 Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
 Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie.
 Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
 Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
 Nic jej nie zburzy i nic jej nie zmiesza;
 A czasem tylko jakie białe jagnię,
 Przez tęczę idzie na skraju doliny
 Szczypać kwitnące róże i leszczyny,
 Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,

Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
— Tam ją ujrziałem!...”

Zarówno wielki pisał to poeta, jak plastyk świetny
i muzyk natchniony.

Wiek niemal ubiegł, zanim smętny Wened ponad
duszami ziomek swych zaciężył. Za życia nie miał
uznania od swoich. Czuł to i cierpiał, a bolejąc gorzko,
skarżył się w cudnym na nas Testamencie:

...„Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia...”

Ale przeczuwał zwycięstwo za grobem, bo znał
swój naród, że kiedyś po latach uwielbi imię natchnio-
nego wieszczka. Imię, co „przeszło jako błyskawica”,
jasnym się światłem teraz w Polsce błyszczy. Czuł, że
tak będzie i szeptał z westchnieniem:

...„O, jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób, ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciało zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna,
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?...”

Już Naruszewicz znał tę gorzką prawdę.

Aż nas porwała ta „siła fatalna“, co nas „w aniołów“ przyrzeka przerobić i dziś poeta liczy legion cały i wielbicieli i „dziedziców“ z ducha.

Krzywda poety, na którą się zalił:

....„Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
 Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych:
 I próżno słowa wyrzucam namiętne,
 Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
 Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
 Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych;
 Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
 A która także mnie kochać powinna...“

— nie da się żadnym powetować czynem ale już samo odczucie jej przez nas i ten mnożący się zastęp wyznawców, świadczą, jak bardzo naród chce naprawić jedną z swych wielkich i bolących win.

Poezya naszego wieku stoi pod znakiem twórcy **Kordyana**.

Drogą odwiecznej, ciągłej ewolucji nastąpił nowy zwrot do romantyzmu. Gdy cios, upadek porywów styczniowych, rzucił nas ongi w ramiona trzeźwości, dziś nawracamy w stronę „świętych snów“.

I teraz właśnie zajaśniało w pełni dostojne imię **Króla-Ducha** pieśni.

Wpływ jego da się odczuć w każdym dziele, w każdym poecie wstępującym w szranki.

Asnyk, Wyspiański, Konopnicka, Miriam, Żeromski, Lange, Tetmajer, Kasprowicz, — wszyscy od niego wywodzą swój ród. Jak on bezmierny żywią kult dla

formy, jak on na skrzydłach lotnej wyobraźni rwał się daleko poza rzeczywistość, jak on mistyczne pieszczą w sobie sny.

Liryzm też wszędzie i na całej linii, — w malarstwie, rzeźbie, w dramacie, powieści, — a jego ojcem i patronem właśnie Słowacki, wódz pokolenia.

Jemu dorównać, jego stać się godnym: — oto marzenia i sny wszystkich młodych.

Jak prędko wszędzie Polsce takie słońce, nowy wieszcz z rodu naszej Trójcy drogiej, oczekiwany spadkobierca twórcy najdoskonalszych tragedii ojczystych i najwspanialszej liryki rodzimej, „Eoliona“, pomazańca Piękna, — przewidzieć dziś niepodobna.

Niestety,

....„znikły w ogrodach łabędzie
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eolionem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy...“

Kraków, dnia 6. czerwca 1909.

~~Państwowy Liceum i Realny Szkoły
w GLIWICACH~~

~~№~~

~~Państwowy Liceum i Realny Szkoły
w GLIWICACH~~

~~B I B L I O T E K A~~

TREŚĆ:

	Str.
Czciciel niewiasty	1
Wieszcz-patryota	39
Geniusz tragiczny	63
Wirtuoz-liryk	129



1993-01-20

1. 05. 1999

2009-09-03

2011-11-22

2012-09-01

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

K20030